



152.

379

W ZARANIU

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(Z. Miłkowskiego).

ZWIĄZEK ZAWODOWY PRACOWNIKÓW
KSIĄŻKI, PRASY I PAPIERU
RADA KSIĄŻKOWA
"DOM KSIĄŻKI"
Kielce, ul. M. Buczka 33, tel. 33-18

TOM III.

"DOM KSIĄŻKI"
Instytucja Państwowa
w Kielcach

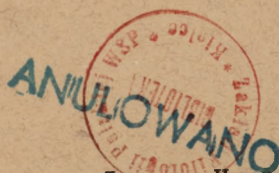
~~Nr. 49~~

WARSZAWA

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“

Druk J Sikorskiego. Warecka 14.

1898.



Дозволено Цензурою,

Варшава, 16 Сентября 1898 г.

2855



230784

I.

Noc rewizyi w domu rodzicielskim przeszła Ilen-ce w niepokoju i zgryzocie. Ojciec kryjówkę wskazał; w słuch jej wpadło nazwisko baby Mokry; nie wątpiła, że rewizya pójdzie do domu tej ostatniej i siecią nakryje przechowujących się tam ludzi młodych, kwalifikujących się jeden i drugi na szubienicę. Niekiedy jej na myśl przychodziło, że się jej nazwisko przysłyszało. Pocieszała się tem, ale na krótko, a myśli jej wszystkie ogniskowały się w zapytaniu:

— Co ja pocznę, jeżeli go wezmą?...

Odpowiedź na zapytanie to przedstawiała się jej pod postacią nie wyrazów, ale jakiejś otehlani czarnej i bezdennej, która ją pochłonać miała. Pod ciepłem okryciem zimno ją mroźne przejmowało. Drżała. To znów nagle robiło się jej gorąco. Okrycie z siebie zrzucała, zrywała się, bosemi nogami do okna szła, okno otwierała i wsłuchiwała się, ażali

w ciszy nocnej nie schwyci uchem odgłosu jakiego, coby ją naprowadził na drogę rozwiązania zagadki strasznej, która dla niej była zagadką bytu. Ciszę przerywało od czasu do czasu stukanie o bruk buławy stróża nocnego; tu i ówdzie słyszeć się dawało szczeknięcie psa; niekiedy zabrzmiało żałosne kotów miauczenie; w dali, w dzielnicy tureckiej, odzywały się puszczyki. Wszystko to nastrajało myśli dziewczyny na ton smutku, uciskającego serce jej tem mocniej, że w sumieniu swoim oskarżać rodzzonego ojca i rodzoną matkę musiała.

Od okna wróciła do pościeli, okryła się, skuliła, powieki zwarła i przed oczami jej przesuwać się poczęły te jaskrawo-barwne widzenia, które w warunkach podobnych na tle ciemności wywołuje wyobrażenia. Widziała Nikołą; oblicze jego odbijało od barwy pomarańczowej, mieniającej się powoli w karmazynową, nasypaną iskrami ognistemi. To ją uspakajało trochę, lecz snu jej nie dawało. Powieki otwierała, widziadła pierzchały. Tak doczekała się poranka, który gdy zaświtał, wstała, odziała się, jaszmaikiem i feredzią się okryła i poszła. Ażeby z domu wyjść, przechodzić musiała albo przez izbę sypialną rodziców, albo przez musafirlyk. Wybrała drogę tę ostatnią, licząc na to, że o tej porze porannej w musafirlyku nie zastanie nikogo. Zdziwienie też jej było niemałe, gdy na sofie ujrzała ojca. Hadzi Christo siedział; obok niego leżała tacka z wypróbną od kawy czarnej filiżanką, przed nim stało narghile; w jednej ręce trzymał koniec cybucha skórzanego, w drugiej różaniec. Dziewczyna się przede drzwiami zatrzy-

mała, zawahała się, czy ma iść dalej, czy wracać. Hadzi Christo oczy na nią podniósł i odezwał się:

— Wstałaś już... tak rano... Dokądżes się wybrała?...

— Do baby Mokry...—odrzekła.

— Ij... nie idź... Tam, Bóg wie, co się stało...

Ilenka wykonała półobrotu, co znamionowało, że wracać chce, lecz hadzi Christo zatrzymał ją.

— Czekaj...—przemówił do niej łagodnie. Pójdź, obok mnie na sofie usiądź...

— Ja, ojciec... — zaczęła. — Robota na mnie czeka...

— Gdybyś wyszła, czekaćby musiała długo... Chodź... mam do pomówienia z tobą...

Ilenca pozostawało tylko wezwaniu ojca uczyń zadość. Na sofie usiadła. Hadzi Christo w te do niej odezwał się słowa:

— Całą noc oka zmrużyć nie mogłem, skutkiem utrapień, jakie nawołali na głowę moją *delikanlie* (szaleńcy), których dawniej w memlekcie naszym nie bywało... (Westchnął). Zkąd się oni wzięli?... Niestety nam ich nasłało, a nieszczęściem tem jest nauka zagraniczna, która, jak się zrazu zdawało, korzyści nam przyniesie wielkie, a jak się pokazało, trucizną się stała... O tem też ja noc całą przemyślałem i o tem chcę pomówić z tobą, dziecko moje, dlatego żeś i ty tej trucziny skosztowała...

Ilenka oczy spuściła i odchrząknęła.

— Pamiętam—ciągnął hadzi — czasy, w których nie było mędrców wśród nas i był spokój... Z Turkami umieliśmy radzić sobie, mimo, żeśmy książek, ani ga-

zet nie czytali, po francusku nie umieli... Opętała nas oświata... I mnie ona opętała: dawałem na szkoły,łożyłem na czytelnie... a!... Ale wyleczyły mnie więzienie i kajdany: nietylko na szkoły i czytelnie pariczki jednej nie dam, ale do paszy pójdę, czołem przed nim uderzę i prosić go będę, ażeby, jeżeli chce od nas truciznę oddalić, wszystkie książki i gazety popalić, wszystkich, co się za granicą uczyli, z kraju wypędzić kazał... Przedstawię to na mizliszu i z tem do paszy pójdę...

— Co na to ludzie powiedzą?... — wtrąciła półgłosem Ilenka.

— Co mi tam ludzie!... Opętało ich i trzeba im raz prawdę powiedzieć... Byłem i ja opętany tak dalece, że ciębie dać zamierzał Stojanowi dlatego, że się on w Bukareszcie uczył i *a la franka* nosił... I oto, do czego on mnie doprowadził!... W apsie przez trzy dni i trzy noce siedziałem, kajdany, niby złoczyńca jaki na nogach i rękach miałem, czterysta medzidzi straciłem i celem zaskarwienia sobie względów dawniejszych wydać jeszcze będę musiał dwa razy tyle... Oto do czego on doprowadził!... Nie straciłbym tyle, gdyby mi dom zgorzał... Tysiąc dwieście medzidzi!... I on je wydarł tobie, bo ja pariczek ani jednej ze sobą do grobu nie zabiorę, zostawię ci wszystko, ale nie zostawię tych, które z przyczyny dżanabeta tego wyrzucić musiałem... Sama powiedz: nie jestże to zgroza?... nie zasługujesz ten czapkin na to, ażeby go opiekano żelazem gorącym i obdzierano ze skóry żywcem?...

— Chciałże on ciebie, ojcie skrzywdzić?... — odrzekła dziewczyna.

— Chciał, czy nie chciał, niewielka ztąd dla mnie pociecha; że zaś nie chciał, tem gorzej, jest to bowiem znakiem choroby, z której naród jaknajprędzej leczyć należy... Dlatego to ja z tobą mówię... Chcę ciebie przekonać, że bardzo źle robisz, niewyjawiając nazwisk spółników Stojana.

Zamilkł, jakby na odpowiedź córki czekał, Ilenka jednak milczała.

— Są to czapkini tacy sami jak on, którzy, gdy im na sucho ujdzie, będą dalej nieszczęścia sprowadzali.

Uwaga ta nie wywarła na nią wpływu najmniejszego.

— Przecie ojca kochasz?... — odezwał się, nadając intonacyi głosu akcent tkliwszy.

— Oh, ojcie!...—westchnęła.

— Kochasz chyba lepiej Stojana, co mnie i ciebie skrzywdził?

— Na tom już majce odpowiedziała.

— I masz do majki żal za to, że cię pobiła trochę... Nie miej ty do niej żalu... Majka, co bije, dobrze czyni... Chodziło o mnie... Za to, żeś nie powiedziała, jam dwieście medzidzi zapłacił i zobowiązałem się nazwiska podać, inaczej bowiem znów ciągany będę; więc ty się nademną zlituj... po raz wtóry aps mnie zabije.

— Nie zabije ciebie!...—odparła, wstając.

— Cóż?... powiesz?...—zapytał hadzi Christo.

— Powiem Turkom sama, że ja tylko wiem... Niech tobie dadzą pokój! Rozpowiem im, jakem się rozrządziła, ażeby okrom mnie nikt nie wiedział więcej i... niech mnie na gorące kładną węgle.

Słowa te wyrzekła z determinacją, świadczącą, że, co powiedziała, zrobić gotowa.

Hadzi Christo głową pokiwał i odrzekł:

— Głupia... Na gorących węglach ciebie nie pokładną, ale będą się nad tobą zaptije znęcali.. Wiedz o tem, żeś raja i niewiasta... Słowo twoje w oczach Turków znaczy tyle, co gdakanie kury na śmieciu... Nie odpowiadasz za siebie; ja za ciebie odpowiadam: chcesz mnie gubić... gub!

— Ja—odparła—ciebie, ojczu, gubić nie chcę, ale też gubić nie chcę ludzi, dla których jest coś świętszego i droższego aniżeli pariczki.

— Są to tacy, co sami pariczek nie mają... — rzekł z akcentem przekąsnym.

— A tak... Stanko nie ma, ale Stojan ma.

Na wzmiankę o Stanku, hadzi Christowi zamigotały oczy; na wzmiankę o Stojanie odpowiedzieć nie miał co, wiadomem bowiem było, że ojciec jego ma złożone u safarów kapitały, które się znacznie przyczyniły do tego, iż go sobie hadzi Christowstwo na zięcia życzyli.

Ilenka, po udzieleniu odpowiedzi ostatniej ojcu, wróciła do izby swojej, ze zwierzchniej odzieży się rozebrała i do haftowania zasiadła. Nie zaniechała jednak zamiaru wyjścia z domu, odłożyła jeno je na później tylko dlatego, jak się zdaje, ażeby się nie opowiadać, jakim jest jej wyjścia cel. Czekala aż się

musafirlyk opróżni. Nastąpiło to rychlej, niż się spodziewała. Hadži Christo, chwilę jeszcze posiedziawszy, wyszedł i Ilenka, włożywszy na siebie napowrót jaszmak i feredzie, wybiegła. Na ulicy kroku przyspieszyła—w chwilę później znalazła się u bramy domu baby Mokry. Widok, jaki się jej przedstawił, przeraził ją i zdziwił. Wzdłuż bramy i muru leżeli pokotem zaptijowie. Wstrzymywała się, cofnąć się już chciała, dostrzegła jednak, że oni, wszyscy razem i każdy z osobna, głębokim ujęci są snem. Na odwagę więc wzięła i przez furtkę, która otworem stała, przemknęła się. Na podwórzu zobaczyła to samo. Zaptijowie, leżąc, ten bokiem, ów na wznak, inny grzbietem do góry, zażywali snu porankowego. Dziewczyna wśród nich się przesunęła, do drzwi się dostała, schodami na górę wbiegła, do musafirlyku wpadła i znów na śpiących natrafiła. Na sofie po jednej stronie leżał Aristarchi-bej, rozwalil się i sapał, po drugiej grubo, wąsaty aga ustami dmuchał, na nosie zaś wygrywał dziwne jakieś sztuki tureckie: protokulista w kłębek zwinięty, miał sen cichy i twardy. Śród tych nieboszczyków tymczasowych, Ilenka stąpała niby po blacie rozpalonym; nogi się jej do biegu, do ucieczki zrywały; mknęła szybko a cicho: wszakże ogólne to obozu nieprzyjacielskiego uśpienie uspokoiło ją znacznie, luboć instyktownie. Przyszła po to, ażeby się dowiedzieć o losie Stojana i Nikoły; niczego się nie dowiedziała; wydało się jej jednak, że gdyby co złego było nastąpiło, w razie takim przedstawiciele i prestrzegacze porządku i bezpieczeństwa publicznego nie bawiliby się snem. Śpią, więc—nie zgrzeszyli. Wi-

dok butelki i kieliszków, stojących pomiędzy sędzią śledczym a naczelnikiem żandarmeryi, dał jej poznać, czem się zabawiali. Przesunęła się przez musafirlyk, wbiegła do izby przyległej, pośpieszyła i wpadła do Anki.

— Ah! Anko!...—krzyknęła.

Anka, która była w łóżku, na pościeli usiadła i uśmiechem uradowania równiecznie powitała.

— Cóż się tu u was w domu dzieje?

— Działo się, powiedz raczej; nad ranem dopiero odeszli.

— Kto odszedł?

— Zaptijowie.

— Ależ nie odeszli!

— Co ty mówisz?

— Widziałam ich... na ulicy, na podwórzu, w musafirlyku.

— Czemuż tak cicho?

— Śpią wszyscy.

— No, widzisz... — odezwiała się Anka. — Jam o tem nie wiedziała... Nie rozumiałam, dlaczego majka, zbudziwszy mnie i papier jakiś po francusku pisany pokazawszy, czuwać mi kazała.

— Gdzież majka?

— Nie wiem... Mówiła, że niebawem nadejdzie.

— A... oni?

— Nie wiem, co się z nimi stało... Zaptijowie, jak tylko nadeszli, wnet wprost do komórki się udali.

— I cóż?... — podchwyciła Ilenka, drżącym od wzruszenia głosem.

— Ich tam nie było.

— Boże, dzięki Tobie!

— Po ogrodzie chodzili; znać im dałam.... ukryli się.

— Czegóż zaptijowie pozostali?

— Trzęśli za nimi przez noc całą.

— Może jeszcze trząść będą... — rzekła tonem domysłu. Dobrzeż oni ukryci?

— Nie wiem...—odparła Anka. Majka, jak się zdaje, do nich z papierem poszła... Poczekaj, powrócić niebawem obiecała: od niej się dowiemy.

— No, ciężar mi z serca spadł... — odezwała się Ilenka, siadając. Gdybyś ty wiedziała, jaką ja spędziłam straszną noc! Oh! oka nie zmrużyłam.

— Ja spałam trochę.

— Tyś o wszystkim wiedziała... Ja wiedziałam jeno, że zaptijowie do was poszli; że oni u was... w komórce, do której zaptijowie drogę poznali.

— Czyż im kto pokazał?...—zapytała Anka.

— Ah! nie pytaj ty mnie o to...—z akcentem, ból zdradzającym, odpowiedziała Ilenka.

Rozmowę pomiędzy dziewczętami przerwało wejście baby Mokry, powracającej z wyprawy do studni. Baba w dobrym przychodziła humorze i powitała Ilenkę ze dziwieniem.

— Tyś tu?... tak rano?... ranny z ciebie ptaszek.

— Byłabym w nocy przyszła, gdyby po nocy chodzić było można... Uprzedzić was chciałam.

— Wiedziałaś więc?

— Niestety, babo duszko... wiedziałam.

— Biedna z ciebie dziewczyna... Nie bierz jednak tego zbyt gorąco do serca... Nie każdemu dano zle od dobrego różróżniać... Wiedziałaś?

— Wiedziałam...—odpowiedziała dziewczyna.

— Zaptim się sen udał... Bo też biedacy natrudzili się... Jak émy, przez noc całą, po odejściu mojem się tłukli, wszystkie kąty przepatrzyli, ogród cały zdeptali, pod krzak każdy zaglądali, maliny połamali... no, mówić niema co: szukali szczerze.

— Ale... czyż *oni* bezpieczni, babo?... — zapytała Ilenka.

— Tak bezpieczni, jakby w studnię wpadli.

Na słowa te Anka w matkę się wpatrzyła. Dla Ilenki miały one znaczenie porównania, tłómaczącego stopień bezpieczeństwa; jej zaś przypomniały przyprowadzaną do studni tradycję, o której słyszała.

— Bogu niech będą dzięki...—westchnęła Ilenka.

Baba Mokra odeszła celem pobudzenia służby. Pomiedzy dziewczętami zawiązała się rozmowa o szczegółach rozmaitych rewizyi, dokonanej w domu jednej i w domu drugiej. Anka opowiadała jak wyskoczyła w koszuli tylko i boso do ogrodu biegła. Pokazywała nogi swoje po kamieniach poranione.

— Ale... — powiadała — tego ani czuła... Do-wiedziałam się, że mam nogi pokaleczone nieprędeż, ażem się do pościeli położyła.

— I tak w koszuli tylko... oni cię widzieli?... — dziwiła się Ilenka.

— Nie zważałam na to... *Oni* tylko w myśli stali.

Tlenka myślała sobie, że i onaby to samo zrobiła.

Ruch, jaki powstał w domu, gdy baba Mokra służbę pobudziła, obudził zaptich: jednego, drugiego, trzeciego. Zrywali się, oczy sobie przecierali, chrząkali i w gromadkę się schodzili. Poczuli się do winy, wszyscy razem i każdy z osobna. W pełnieniu służby zdarzył się im wypadek taki fatalny! Nie dostali rozkazu, ażeby odchodzić, ale też nie było rozkazu, żeby spać. Ciężko zawinili, a jedyne w wypadku tym tłumaczenie, któreby ich usprawiedliwić mogło, polegało na oskarżeniu przełożonego. Następstwa atoli tłumaczenia tego przedstawiały się gorzej, aniżeli winy sama. Położenie ich było trudne; dwaj mianowicie onbaszowie (dziesiętnicy) markotni byli, czuli bowiem, że są zagrożeni kijami. Smutna to per pektywa dla Turków nawet, którym wiara w przeznaczenie los osładza. Osłoda traci na uroku ogromnie w oczekiwaniu na kije. Później powraca ona; człek się pociesza, ale — po harapie. Ponieważ zaś ten ostatni był w przewidywaniu, miny przeto winowajców były bardzo rzadkie w chwili, kiedy pomiędzy nich weszła baba Mokra. Baba oczami po obliczach powiodła i zapytała:

— Co to wam, duszki, zaptijowie?... Wyglądacie jakby was brzuchy bolały... Bolać może?... Możecie w ogrodzie owoce zielone zrywali i jedli?... Powiedźcie.

— Té... — cmoknął ten sam, co wino w musafir-
łyku wypił.—Myśmy owoców zielonych nie rwali.

— Więc was brzuchy nie bolą?

— Nie bolą.

— Cóż wam jest? Powiedzcie... poradzę.

— Nie poradzisz ty nam.

— Jam, duszko, stara, — zaczęła baba.—Radzić umiem nietylko na bole, ale i na smutki... Was jeżeli brzuchy nie bołą, więc wam smutek dolega... Czy nie to was smuci, żeście komitadżego żadnego u mnie nie znaleźli?

— A... nie to...—odrzekł onbaszi.

— Cóż przecie?

— Sen nas opętał, a na sen nie mieliśmy od agi rozkazu.

— I czekają was za to kije?

— A no...—odpowiedział, przez nos czmychając.

— Jeżeli allah tak postanowił, na to rady nie-ma; ale może on postanowił inaczej i o postanowieniu swoim powiadomić was chce przez usta moje.

— Eh?...—zapytało kilku razem.

— Może on tak postanowił, ażebyście adze powiedzieli, że szukacie, wciąż szukacie i zapytali: czy macie szukać dalej?

Zaptijowie popatrzyli jeden na drugiego, jeden głową kiwnął a drugi się odezwał:

— Maszallah.

— Tak widać allah chce...—rzekła baba.—Ażeby zaś wolę jego świętą tem lepiej wykonać, rozejdźcie się i szukajcie, czegoście nie zgubili... Ci, co do ogrodu pójda, znajdą tam studnię i wodę... i namaz jak należy odprawiają... Allah kontent będzie i aga nic powiedzieć nie będzie mógł... Co?—zapytała.

— Tyś mądra, babo...—odrzekł onbaszi.

— Ja wam duszki zaptijowie, życzę dobrze... Czy to wy o tem nie wiecie?... U mnie w dugianie jest dla was izdebka osobna i mastyka taka, jaką padyszech kiedy pije, to się oblizuje... Nieprawda?

— Prawda...—odrzekło kilku razem.

— Rozejdźcie się, a ja się od agi dowiem.

Zaptijowie się po dwóch, po trzech po szopach, stajniach, kurnikach, chlewach i innych zakątkach rozeszli, kilku się do ogrodu udało, baba Mokra zaś udała się do musafirłyku. Zastała w nim rzeczy w stanie takim samym, w jakim się znajdowały, kiedy protokuł brała. Dostojnicy spali. Wejrzeniem po nich powiodła i w oczach jej na jedno źrenicy mgnienie zjawił się odblask srogości dzikiej, który się przesunął i znikł, ustępując miejsca wyrazowi rozmysłu, nabrzmiałemu zapytaniem: „Co z nimi zrobić?“ Rzeczą najprostszą było pobudzić i tegoby się każda inna na miejscu baby Mokry chwyciła. Pobudzenie jednak było dla dostojników kompromitującym; skompromitowanie się zaś wobec baby obudziłoby w sercach ich pretensyę do niej. Ludzie, wysokie zajmujący stanowiska, kompromitować się w sposób podobny nie lubią. Trzeba było, ażeby się pobudzili sami, na co się ani zanosilo i z tego powodu zagrażała im kompromitacya rodzaju innego, któraby także odbiła się pretensyą do baby. Gdyby za długo spali, mógłby się pasza dowiedzieć o sposobie, w jaki oni rewizyę odbywali, a oni winę przyznaliby nie sobie — któryż urzędnik sobie winę przyznaje! aleby zwrócili ją do baby, w której domu spotkał ich wypadek zaspania. Ztąd wypadało, że powinni byli pobudzić się sami i to nie-

zwłocznie, albowiem słońce na horyzoncie już, już pokazać się miało. Pasza miał zwyczaj budzić się rano i wnet agę do siebie wołać kazał.

Baba, na śpiących patrząc, rozważała. Co tu zrobić, ażeby się oni pobudzili sami? Śpiący przedstawiali się jej tak: protokulista leżał skulony; aga na wznak rozwalony, dmuchał i chrapał; Aristarchi-bej bokiem się obrócił i mocno spał, mając usta zamknięte i nos do sofy przytulony. Baba Mokra, położenie to zbadawszy, wyszła, za chwilę powróciła, tuż przed nosem Aristarchi-beja kupkę przyniesionego w palcach proszku, nasypała, szybko się z izby wyniosła i we drzwiach za kotarą stanęła. Nie upłynęło! sekund pary, jak, niby wystrzał, rozległo się kichnięcie.

Aristarchi-bej się zerwał i kichnął po raz wtóry; powietrza w płuca naciągnął i kichnął po raz trzeci. Powtórzyło się to jeszcze po raz czwarty. Pośpiesznie chustkę z kieszeni wydobył i jał nos sobie z hałasem wycierać. Nos wytarł i raz jeszcze kichnął.

Podczas kiedy Aristarchi-bej kichał, protokulista otworzył oko najprzód jedno, potem drugie, odchrząknął zeicha, podniósł się, na siedzeniu się poprawił, papier do ręki wziął i przybrał tę podstawę, z jakiej go sen wyprowadził.

Na agę grzmoty kichania nie wywarły wpływu najmniejszego. Przypuszczać należy, iż chrapanie własne zagłuszyło mu je. Rozwalony, spał dalej.

Aristarchi-bej, z nosem się uporawszy, marszczył się, wąsy sobie i brodę pogładził, gromko odchrząknął, obejrzał się, na zegarek spojrzął i zapytał:

— Cóż rewizya?

— Ty wiesz, effendim... — odpowiedział protokulista.

— Zbudź go — rzekł, oczami na agę wskazując. —
Hm? śpi, kiedy się rewizya odbywa.

Protokulista palcami agę potrącił i zawołał:

— Effendim!

Ze skutkiem takim samym mógłby na pień wołać. Aga wciąż chrapał.

— Effendim!... — powtórzył.

Powtórzenie nie sprowadziło rezultatu pożądanego.

— Szarpnij go!... — rzekł bej.

Protokulista szarpnął raz, szarpnął drugi i trzeci i to jeno sprawił, że aga zamruczał, wyprężył się, wyciągnął i zdawało się, że mocniej zasnął.

— Po zaptich pójdę... — odezwał się protokulista.

— Po zaptich nie idź, ich może już niema, co byłoby źle, — odparł Aristarchi-bej — ale pójdź, rzuć okiem, co się z zaptimi dzieje, wyszukaj babę Mokrę i każ jej, ażeby tobie dała szczyptę sporą tabaki mocnej. Ja, pomimo, że nie spał, kichałem bez tabaki tak, żebym się z najgłębszego był obudził snu, przypuszczać więc można, że tabaka, byle mocna, agę ze snu rozbudzi.

Protokulista wstał, bej za nim posłał jeszcze wyrazy następujące:

— A niech tabaka będzie mocna!

Nieobecność protokulisty trwała niedługo.

— Cóż tam zaptijowie?

— Są... — była odpowiedź.

— Cóż robią? śpią może?

— Nie, trzęsą, effendim.

— Uhm, to dobrze. A tabaka?

— Jest i tabaka.

— Napchajże mu jej w nos, ile wlezie.

Protokulista przystąpił do operacyi: nad agą się nachylił, pomiędzy wąsy a nos palce mu swoje, szczyptę jedną niosące, wsunął, aga pociągnął. Pociągnął i nie.

— Pchaj jeszcze, odezwał się bej.

Protokulista drugą szczyptę w ten sam sposób adze do zażycia dał i odskoczył. Powodem odskoczenia było to, że wybuch nastąpił nagle i niespodzianie, tak nagle i niespodzianie, iż aga cisnął protokuliście w oczy cały tabaki ładunek, jaki mu ten w nos wepchnął.

Agę kicnięcie ze snu obudziło. Zerwał się, usiadł i, dłońmi się za głowę ująwszy, palił z nosa w sposób taki i w porządku takim samym, jak przed chwilą sędzia.

Protokulista jęki wydawał, po izbie się kręcił, chwiał się i oczy sobie przecierał.

Aristarchi-bej mimo, że powagę zachować usiłował, śmiechem wybuchnął i do rozpuku się śmiał.

Komisyi śledczej członkowie, jeden się śmiał drugi kichał, trzeci jęczał. Stała się wśród nich zawierucha i po sporej trwania tej zawieruchy chwili nastąpił powrót powagi. Członkowie się usadowili. Aristarchi-bej, mowę do agi zwracając, zapytał:

— Czyś dał zaptim rozkaz odejścia?

— Nie, nie dałem.

— Możeby już pora rewizyi zaprzestać?

— Któraż to godzina?... — odparł aga; zegarek z zanadruza wyjął, okiem nań rzucił i zawołał: Eh! pasza! Trzeba mi do konaku śpieszyć.

— Trzebaż, żeby onbaszowie pierwszej raport z poszukiwań zdali...—zauważył bej i uwagę tą przytrzymał agę, który już wstawał.

Aga w dłonie razy kilka klasnął; słyszeć się dało deptanie po schodach, onbaszi wszedł, odsalutował i przy drzwiach stanął.

— Eh!...—z gestem zapytania odezwał się do niego aga.

— Szukaliśmy i szukamy wciąż, zaglądaliśmy do studni nawet, przetrzęśliśmy kąty wszystkie.

— Znaleźliście co?

— Bawolicę, krowy, konia, kury, świnie...

— Komitadzi?... — przerwał aga.

— Ani śladu.

Protokulista zdanie sprawy spisywał.

W chwili tej baba Mokra weszła z tacą i wniosła na niej kawę czarną.

— Haj!...—kiwnął aga głową ku onbaszi. Zap-tich zwołaj i do konaku marsz!

Baba Mokra, która Aristarchi-bejowi kawę podała, zwróciła się z tacą do agi.

— Nie...—rzekł ten ostatni, tacę ręką odpychając i z siedzenia się zsuwając.—Na głowie mojej mam tyle, że mi chwilki czasu na wypicie kawy nie zostaje.

Baba się zwróciła do kitabdzego.

— I on czasu nie ma... — odezwał się bej i, do protokulisty mowę zwracając, dodał: — Śpiesz do biu-

ra, spisz protokół do raportu, który ułożysz przy mnie.

Aga, odsapując, wytoczył się, za nim się wyniósł kitabdżi; baba Mokra zapytała beja:

— Narghille, effendim?

— Dobrze... — odrzekł. — Przyniesiesz mi je sama?

Baba odeszła i po chwili powróciła, niosąc w ręku butelkę kryształową z fajką na wierzchu i z cybuchem skórzanym z boku. Gdy butelkę na podłodze przed bejem postawiła, ten rzekł do niej:

— Usiądź obok mnie, pomówimy.

— Czyż to jam młoda, ażebyś ze mną do mówienia miał?...—odparła, siadając.

— Ph, gada się i ze staremi.

— Gadaj, słucham.

— Zacznę od tego, co cię przekona, że mówić z tobą chcę szczerze i po przyjacielsku.

— Eh?...—zapytała.

— Medżidzi pięćdziesiąt.

— Za co?

— Mógłbym być powiedzieć: sto, dwieście: powiedziałem: pięćdziesiąt, raz dlatego, żeby ci pokazać, iż ciebie obdzierać nie chcę, powtóre dlatego, żebyś ze mną mogła mówić swobodnie, jak mówi taki co płaci.

— Co mi tam?...—odparła.—Ja i tak będę swobodnie mówiła i ot co ci powiem, effendim: dam ci medżidzi pięćdziesiąt, ale czy wiesz, za co?

— Eh?...—zapytał.

— Domyśl się.

— Za to, żebym u ciebie rewizyi nie robił?

— Nie. Rób sobie u mnie rewizyę, ile i kiedy ci się podoba. Nie znajdziesz nic.

— Za to, żebym Piotra nie wplątał.

— Wplątaj go, spróbuj. Jam o niego spokojna.

— Za cóż więc?

— Powiedz mi pierwej, coś mi do powiedzenia miał szczerze i po przyjacielsku.

— Miałem ci do powiedzenia, żebyś Stojana Kriwenowa wydała, sumiennie bowiem przekonany jestem, że wiesz, gdzie się on przechowuje. Za pięćdziesiąt medzidzi kupiłabyś sobie dwie rzeczy: najprzód nie wydałbym tajemnicy, że wiadomość tę mam od ciebie, powtóre osłaniałbym Piotra nie dla polityki, jak pasza, który politykę zmienić może, ale dlatego, że pieniądze dostał. Rozumiesz?

— Rozumiem. Zrozumie teraz ty mnie: jedno i drugie, co mi sprzedać chcesz, jest mi na nic. Stojana nie wydaj, o Piotra się nie boję, a medzidzi pięćdziesiąt wypłacę ci, jeżeli mi do kuti mojej dostawisz Stanka.

— Stanka?...—krzyknął bej.

— Masz wóz i przewóz. Chcesz zarobić medzidzi pięćdziesiąt, Stanka mi dostaw; inaczej się ode mnie ani pariczki nie spodziewaj.

II.

Piotr przyjechał pociągiem porannym, wstąpił najprzód do dugiany, w której matkę zastał i ponieważ znajdowało się osób kilka, ściągniętych ciekawością, wieść bowiem o rewizyi długiej i ścisłej u baby Mokry po mieście się rozeszła, dowiedział się jeno o tem, że była rewizya, która nie sprowadziła rezultatu żadnego. Z dugiany poszedł wprost do domu.

— Rewizya... — zaczęła Anka, skoro brata ujrzała.

— Wiem...—odparł.

— Z majką się widziałeś?...

— Z dugiany wprost przychodzę.

— Ależ oni głodować będą...

— Co za oni?...—zapytał.

— A no któż?... Stojan i Nikoła.

— Alboż co?... Zkądże się wzięli?

— Majka ci nie mówiła?...

— Ludzi było w dugianie kilkoro.

— Szukano ich.

— Więc się oni u nas przechowywali?

— W komórce...

I rozpowiadać bratu jęła o wszystkim, co i jak zaszło. Piotr w Konstantynopolu z gazet o aresztowaniach wogóle wiedział; szczegóły atoli, w które go wtajemniczała, siostra, nieznane mu były. Dowiady-

wał się o nich z ciekawością i zajęciem. Gdy Anka opowiadanie skończyła, rzekł:

— Jakże się to dobrze stało!... Właściem myślał, kogoby na tamtą posłać stronę. Gdzie oni?

— W studni...—odrzekła dziewczyna głosem pół domysłu.

— A!...—odparł.

To jego: „a“ potwierdziło domysł Anki.

— Pójdiesz do nich... — rzekła. — Ja kobiałkę jadłem napełnię.

— Spiesz się jeno, mam bowiem iść do paszy celem zdania mu sprawy z poleceń, jakimi mnie obarczył.

Przysposobienie kobiałki nie zabrało czasu więcej nad kwadrans. Gdy Anka ją przyniosła, Piotr wezwał siostrę, ażeby z nim do ogrodu szła i wartę trzymała, zwłaszcza kiedy powracać będzie. O znaki się z nią umówił, dziewczyna przeto widziała, jak znikł, jak się wynurzył i w sposób ten przyszła do zupełnego tajemnicy posiadania. Dodawać nie potrzeba, że tajemnica w pewnych znajdowała się rękach. Po odejściu Piotra przy studni wartowała raz sama, znów w towarzystwie Ilenki, która w ciągu dnia dwukrotnie ją odwiedziła, a dla której Anka z ogrodu nie wychodziła. Studnia stała się przedmiotem pieczołowitości jej szczególnej. Oka z niej nie spuszczała.

Za pierwszą w ciągu dnia bytnością Ilenki, dziewczęta w ogrodzie zeszedł Piotr.

— Zbyłem się pańszczyzny, — rzekł, obok dziewcząt w altanie miejsce zajmując. Od paszy przychodzę.

Jedna i druga zwróciły na niego wejrzenie pytające.

— Co za grzeczny.... jaki uprzejmy!...—dodał.— To nie głupi człowiek. Nie wiedząc, z kim ma się do czynienia, uwierzyłoby można w szczerłość tego, co mówi...

— O czymże mówił? Czy nie o komitadziłuku?...—zapytała Anka.

— Nie... o tem ani słowa. Rozgadał się o oświacie.

— Oh!...—podchwyciła Ilenka.

— Co?... — zapytał Piotr, którego zdziwił nieco wykrzyknik.

— Bom i ja dziś rano o oświacie dużo słyszała.

— Co naprzykład?

— Że jest ona—odrzekła dziewczyna, rumieniąc się lekko — trucizną zagraniczną, że szkodliwa... że póki ona do memlekietu naszego nie zajrzała, było lepiej i spokojniej.

— Pasza innego jest zdania i ze zdaniem jego do pewnego stopnia zgodzić się można... Oświatę u nas przyrównywa on do pierwszej fajki tytuniu wypalonego, od której się człowiekowi w głowie zawraca... Po drugiej zawraca się już mniej, po trzeciej jeszcze mniej, w końcu się człowiek przyzwyczaja, pali i przyjemność w paleniu znajduje. Że my od dymu oświaty doznajemy zawrotu głowy, to prawda.

— A to czy prawda, że potrzeba szkoły fizycznie pozamykać, książki i gazety popalić i tych, co się zagranicą uczyli, z kraju wypędzić?

— Któż ci to powiadał?

— Słyszałam... — odrzekła, nie śmiać Piotrowi w oczy patrzeć.

— Hm... — mruknął. — Środek ten radykalny wyleczyłby nas z zawrotu głowy, aleby nas w stanie bydła trzymał. Ażeby więc ze stanu tego wyjść, warto się na zawrót głowy narazić. To pasza powiada i ma rację; ale w czym nie ma racyi, to w tem, że, zdaniem jego, po przeminięciu zawrotu głowy, Turcja nie będzie miała wierniejszych niż Bulgarowie poddanych. Ten mi nawet zrobił zaszczyt, że mnie jako przykład podał. Zbyłem to milczeniem, rzecz prosta.

— W jakim języku z nim mówiłeś?... — zapytała Anka, w tej zapewne intencji, ażeby się przed przyjaciółką bratem pochwalić.

— Po francusku.

— *Monsieur?*

— Nie... Przemawiałem do niego *excellence*.

— Ale on do ciebie *monsieur?*

— Nie, *mon docteur*. To człowiek bardzo gładki ten pasza; tem niebezpieczniejszy jednak...

Przy Ilence nie było o Stojanie i Nikole mowy. Zresztą posiedzenie niedługo trwało. Piotr do altany zaszedł dlatego jeno, ażeby chwilkę czasu spędzić w towarzystwie pięknej dziewczyny. Towarzystwo tego rodzaju ludziom młodym przyjemność zawsze sprawia i Piotrby z ochotą posiedze-

nie przedłużył, ale do pisania miał listy i do układania depesze, listy i depesze owe, z którymi wieczorem do studni się spuścił.

Nocy następnej ustawiona przezeń na murze winda funkcyonowała, spuszczaając na powrozie do czekającej na dole łodzi najprzód Stojana, potem Nikołą. Anka była manipulacyi tej świadkiem. O mur oparta, na Dunaj patrzyła, lecz wzrok nadaremnie wyteżała; powierzchnia wody połyskiwała, gwiazdy się w niej odbijały, cienie się po niej przesuwaly, łodzi atoli dojrzeć nie było sposobu. Wyteżała słuch także nadaremnie. O brzeg chlupały fale i gluszyły chlupanie wiosel. Przytem winda trochę zgrzytała i Piotr się półgłosem skarżył:

— Przecieżem tryby oliwą napuścił: czemuż one zgrzytają!... Opatrzeć je trzeba będzie.

Po ukończeniu czynności sznur wyciągnął, zwinął i rzekł:

— Po raz pierwszy tą drogą ludzi wyprawilem i, Bogu dzięki, powiodło się dobrze.

Winę zabierając, siostrę wezwał:

— Chodźmy.

— Idź—odrzekła—ja tu jeszcze zostanę... Może ich tam zobaczę.

Ręką wskazała na jaśnie, widną na środku Dunaju.

— Zdołubys zobaczyć, z góry... nie...—odrzekł, winę zabrał i odszedł.

Anka pozostala, patrzyła, wzroku nawet nie wyteżała i widziała, ale—oczami duszy. W wyobraźni ścigała łódź, mknącą cicho po dunajskich toniach

i unoszącą młodzieńca, który się jej w życiu nasunął, jak rozbitkowi na morzu nasuwa się deska zbawienia. Ścigała więc wiozącą go łódź i wydawało się jej, że w plusku fal odzywa się głos jego: „Czekaj na mnie!“ O! ona będzie czekała. Czyż się doczeka? O tem nie myślała, nie przypuszczała bowiem, ażeby, jak jej tęskno było do niego, tak jemu tęskno do niej nie było. Niedziw, pokochała miłością pierwszą i to miłością, co ją od klasztoru, który się jej po utracie braci, jako jedyne, pożądane schronienie przedstawiał, odprowadziła. Pozostała więc w nocy na długo, celem ściągania łodzi, uwożącej młodzieńca, którego usta na ustach swoich czuła. Posyłała za nim życzenia drogi dobrej i powrotu rychłego i roiła sobie, że w podziemiu zamieszkałby z nim i raj dla siebie znaleźć mogła! Egoizm miłości!

Anka roiła, a baba Mokra synowi zdawała sprawę z układu, jaki z Aristarchi-bejem zawarła.

— Za pięćdziesiąt medżidzi Stanka mi do domu przyprowadzi.

— Tanio się zgodził... — zauważył Piotr.

— Bo to człowiek rozumny: poznał, że nie dostanie więcej i, że mu nic z tego nie przyjdzie, jeżeli Stanka powieszą. Lepiej cokolwiek, aniżeli nic.

— Czyżby Stanka koniecznie wieszając miano?

— Nie mają kogo innego, a teraz, z powodu tej kaugi serbskiej i tego kałabalyku całego, potrzeba Turkom dwóch przynajmniej. Otóż jeden jest Groždan, sielak z Kriweny, drugi Stanko. Jest jeszcze i trzeci, niejaki Dumitri, który się upił, po mahale tureckiej na koniu jeździł i wykrzykiwał, że się

skończyło panowanie tureckie. Gdyby dojść mogli, kto był na schadzce u Stojana, daliby pokój Grozdanowi, Stankowi i Dumitremu, mieliby bowiem siedmiu.

— Na jakiej schadzce?...—zagabnął Piotr.

— Na jakiejże, jeżeli nie na tej, na której przysięga postanowiona została!

— A?... — odezwał się przeciągle z akcentem zajęcia szczególnego. To o schadzce wiedzą?

— Wiedzą. Hadzi Christo wygadał.

— A nie wydał naczelników?

— Nazwiska naczelników zna Ilenka tylko, ale zacięła się i nic nie mówi.

Opowiedziała synowi, jak, co się stało i zakończyła opowiadanie sceną, której świadkiem była, pomiędzy matką a córką.

— Za włosy ją hadzi Christica po podłodze ciągała.

— Dzielna dziewczyna...—rzekł Piotr.

— Na niej się zahaczyła sprawa cała. Jej rodzice spokoju nie dają i gdyby ona wygadała, nie dostaliby już Turcy Stojana i Nikoły, aleby zabrali...

Wymieniła nazwisk cztery.

— I mnie... — dodał Piotr. — A jeżeli mnie i tamtych nie dostaną, za nas głową nałoży Stanko.

— Nie nałoży już... — odrzekła baba Mokra. — Zrobiłam przecie co do tego układ z Aristarchibejem.

— To wielki łotr.

— Wiem ja o tem... o! to mędrzec... i wiem, co on nam sposobi.

— Co?—zapytał Piotr.

— Zgodził się za medzidzi pięćdziesiąt Stanka wypuścić na to, ażeby w domu naszym jego, a z nim i ciebie wziąć. Liczy, że w sposób ten dostanie nie pięćdziesiąt, ale pięćset medzidzi. Aristarchi-bej nie wie o studni, do której natychmiast Stanka, gdy nadejdzie, schowamy i wówczas rewizya niech szuka. Ma głowę on; mam głowę ja. Niechże — dodała to-nem przestrogi — będzie tak, że ty o układzie moim z Aristarchi-bejem nic nie wiesz, powiedziałam mu bowiem, że ciebie do tego mieszać nie chcę. Gdyby on ci co o tem natrącił, daj mu odprawę należytą. Rozumiesz?

— Uhm... — odparł Piotr.

— On ciebie najdzie.

— Zapewne. Ale w myśli mi nie on.

— A któż?—zapytała baba.

— Ilenka. Nie spodziewałem się po niej hartu takiego. Dzielna dziewczyna.

Baba Mokra miała już na języku ów z protokółu ustęp, który stał się powodem rozjątrzenia Nikoły na Stojana; zmilczała jednak dlatego, że Ilenkę w troskliwości swojej rodzicielskiej na małżonkę dla Piotra życzyła sobie. Było to życzenie jej, że się tak wyrazimy, poufne, którem się nie popisywała zrazu dlatego, że hadzi Christostwo przeznaczyli byli Ilenkę Stojanowi, następnie dlatego, że w protokule zaznaczoną znalazła miłość dziewczyny dla młodego człowieka. Wobec tego atoli, jak się okoliczności układały, szykowało się prawdopodobieństwo, że życzenie jej urzeczywistnione być może.

Miłość bowiem?... Baba Mokra nie wyobrażała sobie, ażeby miłość dla Stojana przeszkodzić mogła Ilence pokochać Piotra, czy to po ślubie, czyli też przed ślubem nawet. „Co z oczu—to z myśli“.

— Niechno się oni poznają bliżej i przypatrzą sobie lepiej... mówiła sobie w duchu.

Dwukrotne przez Piotra zastosowanie do Ilenki wyrażenia: „dzielna dziewczyna“, za dobrą wzięła wróżbę.

— Piotr się jej przypatruje... — pomyślała. Niech... niech...

Wobec czynności podziemnych, w których syn jej udział brał, rzecz ta przedstawiała się pod postacią sprawy natury bardzo delikatnej. Był to jeden z powodów, dla którego baba osłaniała syna i, w stosunku, z Aristarchi-bejem związanym, całkowicie go na bok usunęła. W oczach władz Piotr uchodził za zupełnie w sprawach politycznych zobojętniałego, za takiego go matka podawała. Podejrzewano go wprawdzie, ale za maskę służyły mu projekta spekulacyjne, jakie mu przypisywano. Jedni mówili, że ma zamiar wykołatać koncesyę na kolej żelazną z Ruszczuka do Tyrnowy, albo z Widdynia do Sofii, inni, że ma intencyę zawiązać stowarzyszenie, celem handlowania kośćmi, inni, że nosi się z myślą założenia jakiejś fabryki itp. Piotr w rzeczy samej zamiary tego rodzaju żywił, ale z punktu obserwacyjnego, dowiadując się i mówiąc często o resursach krajowych i o tem, jakoby z nich użytek zrobić można było. Służyło mu to za maskę równie wobec takich, jak hadzi Christo, jakoteż wobec władz. Pasza go poważał i pomimo, że



przekonany był, iż w nim tkwi Bulgar, zaszczycał go względami szczególnymi.

O sprawie tedy Stankowej baba Mokra zawiadomiła go, ale ją prowadziła sama, na rękę własną. Zawarła z Aristarchi-bejem układ i na rezultat czekała. Rezultat nastąpił w dni kilka później.

Jak baba przewidywała, Aristarchi-bej próbował Piotra do sprawy tej wplątać. Zaczepiał go insynuacyami, które on, przez matkę uprzedzony, zręcznie odwracał. Raz nawet bej go wręcz zapytał:

— Cobys dał za uwolnienie Stanka?

— Ani pariczki...—odpowiedział.

— To twój daskal: uczył ciebie czytać i pisać.

— I bardzo dobry człowiek... — odrzekł Piotr. Żał mi go, ale...—dokończył gestem.

— Głupi...—podszeptał Aristarchi-bej.

— No...—nie... O ile go znam...

— Głupi, powiadam ci... — powtórzył z naciskiem.

Piotr go o rację powiedzenia tego i nacisku nie pytał, on też przedstawił ją nie jemną, ale babie Mokrej, z którą od czasu do czasu konferował w izdebce, przylegającej z tyłu do dugiany! Konferencye nie zaznaczyły się w sposób osobliwszy. Wreszcie razu pewnego przyszedł, usiadł, nos sobie kulakiem utarł i rzekł.

— Ten wasz Stanko głupszy, aniżeli sobie wyobrazić można.

— Eh?...—zapytała baba.

— Więzienie miał otwarte, wyjść mógł i... nie wyszedł.

— Czemu?

— A cóż!... Boi się i ze strachu powieszony będzie.

— Hm?...—westchnęła baba. On bo zawsze lękliwy był. Tegom się jednak po nim nie spodziewała, ażeby ze strachu przed śmiercią się nie usuwał.

— Otóż widzisz.

— Czybym z nim widzieć się i pomówić nie mogła?

— Czemu nie!.. i owszem. Śledztwo już skończone, oskarżonych odwiedzać wolno.

— Kiedy?

Aristarchi-bej oznaczył godzinę i napisał pozwolenie. Godzina wypadła nad wieczorem. Baba Mokra do więzienia się udała. Dozorca, dawniejszy jej znajomy, powitał ją znaczącem oczami mrugnięciem i na pieczęć Aristarchi-beja nie patrząc nawet, wpuścił ją do kazamaty, w której Stanko samotnie siedział. Baba pozdrowiła więźnia.

— Dobrze iżeś przyszła...—odrzekł Stanko na pozdrowienie stosownie odpowiedziawszy. Napastuję mnie tu uwolnieniem. Dawniej napastowano badaniem, teraz uwolnieniem i wypychają mnie do domu twego.

— Czemuż nie idziesz?

— Dlatego, że śladem za mną pójdą zaptije i sprowadzą mnie napowrót w towarzystwie Piotra.

— Domyślasz się tego?... --zapytała baba.

— A no... Trzebaby chyba Aristarchi-beja nie znać.

— I ja się tego domyśliła. Mimo to przyszedłam po to, ażeby ci powiedzieć, żebyś z apsu do mnie wprost szedł. Schowanie dla ciebie przygotowane jest takie, że cię zaptije nie znajda.

— A dalej?...—zapytał.

— Dziś przyjdiesz, jutro będziesz na tamtej stronie.

Stanko zamyślił się chwilę i odrzekł:

— I cóż ja na drugiej stronie robić będę?

— To, co inni.

— Co inni?...—powtórzył. Inni!.. jedni idą w apostoły, drudzy się sposobią na wojników, trzeci piszą i drukują. Ze mnie być nie może ani apostoł, ani pisarz; dzieci w Rumunii do uczenia dla mnie niema: będę więc tam chyba odjadał chleb tym, co chleba sami dosyć nie mają.

— Nie będziesz chleba odjadał nikomu...—odparła baba Mokra.

— Powiedz mi, babo—podchwycił—ileś za mnie zapłaciła?

— Nie zapłaciłam nic.

— Ale zapłacisz?

— Tobie nic do tego.

— Mnie to do tego, że pariczki, którebyś za mnie wydała, przydałyby się na co innego, bo ja, czy tak, czy owak, jestem człek przepadły: w Ruszczuku, w Bułgarii zostawać nie mogę; w Rumunii nie przydam się na nic. Życie moje niewarte już trzech par.

— Dla dzieci twoich...—wtrąciła baba.

— Ani dla dzieci moich, ani dla nikogo, babo... — odparł z westchnieniem. Zostawcież mnie i pozwólcie, ażebym narodowi memu usługę ostatnią oddał tem, czem oddać jeszcze mogę.

— Czem?—zapytała baba.

— A no, śmiercią.

Baba Mokra osłupiała i w osłupieniu wysłuchiwała wykładu następującego:

— Nadchodzą momenty takie, że służyć potrzeba i życiu i śmiercią. Jedni są do tego, drudzy do tego. I jam był do służenia życiu, służyłem więc, póki mogłem; ale klamka zapadła. Służyć życiu już nie mogę i gdybym przy życiu pozostał, ludzieby prawo mieli zapytać: „Od śmierci uciekł... po co?” Poprostuby mi wstyd było.

— Stanku! Stanku!...—odezwała się baba.

— Wstydby mi było synów twoich.

— Czyż nie żał ci dzieci i żony?

— Cóż ja im pomogę? Życiem nie; śmiercią zaś...

— Mniej jeszcze, aniżeli nic...—podchwyciła.

— Té...—cmoknął. A wspomnienie? Gdy mnie Turcy za pieniądze wypuszczą, dzieci moje powiedzą: „Miałyśmy ojca żebraka”; gdy mnie powieszą, powiedzą: „Ojciec nasz za naród swój zginął”. O! ja, babo, myślę o dzieciach swoich. Obmyśliłem wszystko i zobaczysz, że po mojemu będzie lepiej, aniżeli po twojemu. Zachowajże pariczki twoje na co innego. Ty mnie rozumiesz.

— O!... odrzekła.

— Niech się dzieje wola Boża.

— Niech się dzieje...—powtórzyła.

— Weź żonę moją z dwojgiem dzieci najmłodszych do siebie; ona ci się w domu przyda. Niech dziecko jedno przygarnie moja siostra, jedno mój brat; najstarsze w służbę jaką pójść, albo do rzemiosła stanąć może. W kraju naszym z głodu się jeszcze nie ginie i nie brak ludzi dobrych, co na sierotę wzgląd mają.

— Ej Stanku...—tonem perswazyi odezwała się baba jeszcze.

-- Gdyby mnie Turcy puścili tak, ażeby do szkoły swej wrócić mógł, radbym był temu; ale ucieczka uczyni mnie człowiekiem przepadłym; niechże przynajmniej nie przepadam marnie. Śmierć życie daje. Gdyby nie twój syn jeden, co zginął, i drugi, co zginął, byłoby u nas w Ruszczuku martwo, jak w grobie. I ty sama, babo...

— Ach! tak... tak...—przerwała. Ale synowie moi śmierci w oczy tak zdaleka nie patrzyli, jak ty patrzysz. O! Stanku...—westchnęła.

Za skronie go dłońmi wzięła i na jego czole pocałunek długi złożyła.

— Synu!...—rzekła.

— Majko!—odpowiedział.

Łzy mu na powieki nabiegły. Baba zapłakała.

— Bóg przyjmie chyba ofiarę twoją, ona taka czysta.

— Daję narodowi memu, co mogę i nie wykradam Turkom sposobności obrażenia Pana Boga.

Baba Mokra raz jeszcze Stanka uściśliła i, wybuch płaczu tłumiąc w sobie, szybko z więzienia wyszła. Przed drzwiami spotkał ją dozorca...

— Cóż, tej nocy?—zapytał.

Baba sztukę złota mu wetknęła i półgłosem do ucha szepnęła:

— Prawda, że zaptijowie są na Stanka nastawieni?

— A jak ty o wszystkim wiesz...—odrzekł.

— Czekają od wczora?

— Od wczora. Zkądżeś się o tem dowiedziała?

— Od ciebie.

— Podeszłaś mnie. Nie wygadajże się jeno.

— Bądź spokojny — odrzekła — nie od dziś się przecie znamy.

O Stanka postanowieniu, baba—rzecz prosta—uwiadomiła Piotra. Sprawilo to na nim wrażenie silne. Westchnął i rzekł:

— Szkoda go. Piękna dusza. Pocieszajacem jest, że zjawienie się wśród nas osobistości takich świadczy, iż się idea Bulgaryi w dusze wkorzenia. Tak niedawno nie istniała wcale. Dziś zaś ludzie życia niosą w ofierze. Kwiat wystrzela... da Bóg, że owoc zrodzi.

Baba niekoniecznie słowa syna zrozumiała. Zrozumiały je jednak Anka i Ilenka, które pozostały na długiej z Piotrem rozmowie, snującej się około powstawania narodów i około praw, jakie one mają do życia. Piotr starał się naginać do pojęć dziewcząt i znajdował we względzie tym pomoc wielką w poetycznych utworach wychodźców, mianowicie zaś Liu-

bena Karawelowa, którego płomienne strofy trafiały do przekonania lepiej, aniżeli wywody rozumowe. Mówienie swoje przeplatał przytaczaniem ustępów charakterystycznych, opiewających swobodę i poświęcenie. W sposób ten dziewczęta usposabiały się moralnie do przyjęcia przewidywanej śmierci Stanka w znaczeniu ofiary. Smutno im było. Smutek szczególniej uciskał Ilenkę, która wiedziała, że do pogorszenia sprawy Stanka przyczynił się jej ojciec.

Przyświecała jednak jeszcze niejaka nadzieja. Co do wyroku, zachodziła niepewność. Mówiono nawet o nadeszłych drogą telegraficzną z Konstantynopola poleceniach, nakazujących łagodność. W razach podobnych zazwyczaj zjawiają się wieści tego rodzaju. Oczekiwano. Nareszcie oczekiwanie się skończyło, wyrok zapadł.

Wiadomość o nim, gdy się rozeszła, wywarła wrażenie pognębiające. Sam hadzi Christo zbladł.

— Stanko! Stanko!..—belkotał.

Ilenka wpadła do Anki blada, przerażona, rzuciła się na sofę i na cały głos zakała. Pod strzechą rodzicielską żalowi folgi dawać nie śmiała.

Babie Mokrze usta się trzęsły. Wciąż niemi ruszała, jakby modlitwę odmawiała.

Piotr miał minę człowieka zmieszanego.

Egzekucya nastąpiła nazajutrz. Był to dla Bułgarów ruszczuckich dzień żaloby ogólnej. Całe miasto wyległo; plac zapełnił się ludem, który się zeszedł celem pożegnania wejrzeniem człowieka cichego, skromnego i użytecznego. Zeszli się Rumuni i mużulmanie. Tych ostatnich prowadziła ciekawość oglą-

dania równie egzekucyi samej, jakoteż zbrodniarzów, uważanych za największych, jacy kiedykolwiek ziemię deptali. W mniemaniu Turków, czyny hajduków, rozbijających po drogach, w porównanie iść nie mogły z knowaniami komitadżich. Nowy ten rodzaj zbrodni dlatego już samego silniejszym, aniżeli zbrodnie inne, oburzeniem przejmował ich, że był nowy.

— Szejtan wymyślił,..—powiadali.

Rozdrażnienie ich tem było większe, że czuli, iż źródło zbrodni tej znajduje się w nichże samych. Upatrywali je w państwach zagranicznych, w Rosyi szczególnie, odwracając w sposób ten od siebie odpowiedzialność za popełniony przed wiekami na narodzie gwałt, który w przeświadczeniu ich uchodził za „konieczność historyczną“, za wyrok Ałłaha. I na tę to konieczność, na ten wyrok, komitadżiowie porywali się!

Zbrodniarzów wyprowadzono trzech: Dumitra, Groždana i Stanka. Szli powiązani śród żołnierzy przy odgłosie muzyki wojskowej. Piechotę poprzedzała jazda, która plac oczyściła; zaptijowie sformowali łańcuch, stając w koło, pośrodku którego wznosiły się trzy, jedna obok drugiej szubienice. Dumitra i Groždana żołnierze pod pachy prowadzili; Stanko szedł o sile własnej i wyglądał tak samo, jak kiedy ze szkółki do czytelnicy chodził; szedł, utykając, jak zwykle, na jedną nogę i, jak zwykle, ludziom, głowy skinieniem, pozdrowienia posyłał. W oczach i na obliczu jego świecił ten sam, co zawsze, wyraz pokory dobroduszej, gotowej z drogi ustąpić każdemu. Nie ustąpił jednak Turkom. W Bulgarach, co go w chwi-

li tej oglądali, dech się w piersiach zapierał; temu i owemu z piersi wydzierał się jęk głuchy, któryby zabrzmiał głośno i stał się ogólnym, gdyby nie obecność zaptich, powściągająca manifestację uczuć, rządowi nieprzychylnych.

Wobec szubienic, zachowanie się skazańców wyraziło się rozmaicie. Dumitr, chłop setny, co z *pohliwanamt* (siłaczami) w zapasy chodził, odzyskał przytomność umysłu, nasrożył się, Turkom wymyślał, okrzyki wydawał; Groźdan nie wiedział, co się z nim i około niego dzieje, z góry był umarłym; Stanko się ani w postawie ani na obliczu nie zmienił, usta się mu jeno zlekka ruszały, modlił się zapewne, a modląc się, po tłumie oczami powodził i głowę pochylał, jakby pożegnania słał. Była chwila, w której oczy jego spotkały się z oczami Piotra, który, blady, łzy tłumił w sobie. Stanko się uśmiechnął. Był to na ziemi uśmiech jego ostatni.

Sprawiedliwości stało się zadość.

Na trzech szubienicach zawisły trzy ciała, które w rzutach konały; skonały, zrazu się chwiały i chwiać się przestały.

Turcy nie osłaniają skazańców togami i kapturami. Konanie wisielców wystawiają na widok publiczny. I nie zdejmują ciał wnet po egzekucyi; przeciwnie, pozostawiają je na długo na postrach, zawieszając im na piersiach wyroki.

Ciała Dumitra, Groźdana i Stanka wisiały przez dni trzy, a wyroki na piersiach ich, na kartonach kwadratowych spisane i w pieczęcie zaopatrzone, opiewały: jako pierwszy winien był buntu otwartego, poj-

many bowiem został na koniu, z nożem w ręku, wydając okrzyki zbrodnicze; jako drugi wziął udział w dokonaniu przez członka komitetu morderstwie oficera, kiedy oficer ów pełnił służbę urzędową; jako trzeci dowodami niezbitemi przekonany został, że był członkiem komitetu, pozostającego w porozumieniu z nieprzyjaciółmi, dybiącymi na całość i nietykalność posiadłości, pozostających z Allaha woli we władaniu padyszacha. Wyroki pisane były po jednej stronie po turecku, po drugiej po bułgarsku. Turcy przechodzili i odczytywali je, a od rana do wieczora siedząc przed znajdującą się naprzeciwko kawiarnią, przypatrywali się Bułgarom, którzy, przechodząc, wyroków nie czytali, lecz zatrzymywali się, czoła pochylali i oddalali się, szepcząc modlitwę za spokój dusz trzech ludzi, śmiercią ukaranych niewinnie. W oczach Turków byli to zbrodniarze; w oczach Bułgarów—ofiary.

III.

Zbrodniarze—ofiary. Cienko już przedła w momencie owym Turcyja. Żle się dzieje z państwem, gdy wśród mieszkańców onego zapanują dwa, tak jedno drugiemu wręcz przeciwne pojmowania rzeczy. Rzeczą jest pospolita, że to, co uchodzi za zbrodnię

w jednym, uważane jest za cnotę w drugim. Dowodzi to wogóle chwiejności gruntu, na którym ludzkość buduje wytwory polityczne. Chwiejność ta atoli potęguje się dla państwa, gdy w łonie onego wytworzy się zjawisko sprzecznego rzeczy pojmowania.

Egzekucya, dokonana w Ruszczuku „na postrach“, sprawiła nie postrach, ale oburzenie, głębokie oburzenie, połączone ze spotęgowaniem niechęci jednej połowy mieszkańców do drugiej. Jak na wrogów, Turcy na chrześcian, chrześcianie na Turków patrzyli. Władza byłaby temu zapobiegła, gdyby była Stanka wolno puściła i do szkółki mu powrócić pozwoliła. Potrzeba jej jednak było „postrachu“, wynikającego logicznie, jako konieczne natury jej następstwo. Temu się ona oprzeć w możności nie była.

— Postrach!.. postrach!..

— Oto raja spokorniała!..—powiadali i winszowali sobie Turcy.

Spokornienie było tem ściśnięciem, jakiego się doznaje po otrzymaniu ciosu, który ogłuszył, ale nie zabił. Ogłuszenie ogólne w rzeczy samej nastąpiło; poszczególnie zaś objawił się przestрах w sferze zwłaszcza mężów poważnych, trzymających się porządku dlatego głównie, że im z nim dogodnie. Do mężów tego rodzaju należał ojciec Ilenki. Śmierć Stanka na sumieniu mu nieco ciążyła; winę atoli przypisywał nie sobie, ale temu ruchowi umysłów, jaki się za pamięci jego rozpoczął i rozwijał. Stanko w przekonaniu jego padł ruchu tego ofiarą. Miał się za kompetentnego do sądzenia o tem, ponieważ sam ucierpiał. Czyż nie siedział w więzieniu? Czyż nie

nosił kajdan na nogach i rękach? czyż nie stracił czterystu medżidzi?..

Nadchodziło posiedzenie mizliszu (rady prowincjonalnej), którego on członkiem był. Zasiadali w nim muzułmanie i chrześcijanie, jako też żydzi, wybierani przez ludność wedle wyznania. Bez wyboru w obradach udział brali przełożeni w hierarchii kościelnej: mufti turecki, władyka i wikary apostolski chrześcijański, i rabin żydowski! W zgromadzeniu tem wszyscy wedle litery prawa, równi co do opinii byli; tak chciał *hatihumajum*, który urządzenie to do życia powołał: w praktyce atoli wypadało inaczej. Głosy chrześcijańskie i żydowskie podporządkowywały się głosom tureckim, poważanym przez to samo, że w ręku Turków spoczywała władza, że byli panami kraju. Chrześcijanie i żydzi, luboć liczniejsi, ustępowali im we wszystkim, a raczej w milczeniu przyjmowali postanowienia, zapadłe z incyatywy bądź przedstawiciela władzy, który na mizliszu prezydował, bądź też którego z przedstawicieli ludności tureckiej. Milczeli, z wnioskami się nie wyrywali i byli tego przekonania, że... radzą. Radzili, ale, nie oni.

Takiej to rady nadchodziło posiedzenie, na które wybierał się hadżi Christo. Miało ono zgromadzić się we środę. W niedzielę, kiedy ludzie z cerkwi wychodzili, hadżi Christo przede drzwiami się zatrzymał i śród wychodzących niewiast wypatrzywszy babę Mokrę i Ankę, zbliżył się do nich. Pozdrowił; one mu pozdrowieniem odpowiedziały; on się odezwał:

— Zaszedłbym do ciebie, babo, gdybym wiedział, że uprzejmie przyjętym będę...

— Słyszałeś, żebym kogo uprzejmie nie przyjmowała?...—odparła baba. Prosimy... prosimy...

— Czy Piotra w domu zastanę?

— Zdaje się...—odrzekła.

Poszli razem. Baba Mokra towarzyszyła gościowi do musafirlyku i, zaprosiwszy, ażeby na sofie miejsce zajął, sama odeszła. W chwilę później zjawił się Piotr. Do niego, jako do gospodarza domu, należało bawienie gości. Rozmowa rozpoczęła się wymianą pozdrowień, poczem nastąpiło wniesienie przez Ankę poczęstunku, składającego się w części pierwszej z tatły i wody, w drugiej z kawy czarnej. Kawie towarzyszyły cybuchy i dopiero gdy sinawe obłoczki dymu unosić się poczęły nad głowami siedzących nieopodal jeden od drugiego: poważnego, w poturach, pasie szerokim, kurcie i fezie Bulgara, i młodego w odzieży europejskiej człowieka, hadzi Christo w następujący odezwał się sposób:

— Przyszedłem ja tu do ciebie, ażebyś ty napisał...

— Co?...—zapytał Piotr.

— Coś takiego, co będzie niby przeciw tobie, ale nie przeciw tobie, ty bowiem, pomimo, żeś się za granicą uczył, jesteś człowiekiem spokojnym i statecznym. Widzą to i wiedzą o tem wszyscy. Skorzystałeś z przykładu, jaki ci bracia twoi dali i nie zaraziłeś się powietrzem, które na innych młodych ludzi nawiało.

— Hm?...—mruknął Piotr. Do czego, hadzi, mówienie twoje zmierza?

— Do pisania. Napiszesz lepiej, aniżeli ja, albo ktokolwiek inny.

— Co?...

— A oto co... Mizlisz się zbiera i ja na mizliszu odezwać się chcę o tej oświacie nieszczęsnej... bodajby ją lichu wzięło! co młodzież naszą na zaprzepaszczenie prowadzi. Pora już temu koniec położyć.

— Jeżeli się odezwać chcesz, do czegoż więc pisanie moje?...—zauważył Piotr.

— Do tego, raz, ażeby to spisane było jako *mazbata* (skarga), powtóre, ażeby przedstawione być mogło paszy, a nawet i sultanowi samemu, jako najwierнопoddajnsza petycja... Nikt chyba tego tak nie napisze, jak ty... Niech nas oni od tej oświaty raz na na zawsze uwolnią... Niech ze szkołami i czytelniami porządek jaki zrobią...

— Pozamykają chyba...—wtrącił Piotr.

— A tak... Czyż to nie ze szkół nieszczęścia wszystkie? Nikomu one pariczki jednej do kieszeni nie napędziły, a iluż to już z przyczyny ich zginęło!...

Westchnął głęboko i, westchnawszy, ciągnął dalej:

— Nad Stankiem mało żem nie płakał... Z powodu Stojana, com się nacierpiał! Stanka co zgubiło?... szkoła... Stojan czemu się od esnafu oderwał i na bezdroże wszedł?... z powodu szkoły... Na wszystkich, co poprzepadali z racyi szkoły marnie, uchowałeś się ty tylko. Więc ty tę petycję napisz, a gdy się paszadowie, żeś ty ją pisał, on tobie nie zapomni tego...

Piotr się zamyślił. Myślał nad sposobem wymówienia się od propozycji, nie chcąc jej odrzucać wręcz, dla niezrażenia do siebie hadzi Christa, którego względy przydać mu się mogły, jeżeli nie na co in-

nego, to jako parawan. Kiedy tak myślał, hadzi Christo prawil:

— Widzisz bowiem, gdyby sułtan petycyi tej wysłuchał, w memlekiecie naszym powróciłby spokój, który mnie i tobie potrzebniejszy, niż komu innemu: mnie dlatego, że m stary, tobie dlatego, że młody. I tak to się widzisz układa: ja dobra, jakie mi Pan Bóg dał, nie zabiorę ze sobą do grobu; chciałbym je komu wraz z córką oddać, ale z tą pewnością, że nie przepadnie... Cóż pewność tę dać może, jeżeli nie spokój?

Słowa te dość wyraźnie wskazywały w przeźroczy Ilenkę. Piotr myśleć mógł, że hadzi Christo na niego, jak się to mówi, parol zagiął, a myśleć tak mógł dlatego właśnie, że hadzi powiedział, dlaczego spokój potrzebny jest jemu, staremu, nie dopowiedział, dlaczegooby potrzebnym był młodemu. Tę drugą połowę racyi zostawił niejako w powietrzu, zasłaniając ją córką. Piotrowi łatwo było domyślić się, jaką jest drugiej owej połowy istota. Mimo to czekał na nią. Hadzi prawil dalej:

— Dla zapewnienia tedy spokoju mnie i tobie, *tergowcom* wszystkim, esnafdzim, sielakom i memlekietowi całemu, napisz ty najpiękniej, jak można...

Na propozycję hadzi Christa — Piotr brwiami ruszył, głową kiwnął i odrzekł:

— Ph... Choćbym chciał, nie potrafię.

— Eh?... odezwał się ze zdziwieniem hadzi.

— Nie potrafię.

— Czyż to być może?...

— Może być, kiedy jest.

— Piszesz przecie.

— Piszę po bułgarsku, po rosyjsku, po niemiecku, po francusku, ale nie po turecku.

— *Zarar yok!*...—zawołał hadzi Christo. Napisz po francuskę, to wyrozumie i pasza i sultan...

— Czy to ma być petycja od ciebie samego?

— Nie, od mizliszu całego.

— Czyż mizlisz wyrozumie petycję francuską? Zastanowiło to hadzi Christa. Po chwili jednak rzekł:

— Wyrozumie, czy nie wyrozumie, to wszystko jedno... Powiem, o co chodzi i członkowie mizliszu podpieczętuja wszyscy co do jednego.

— Uhm... — odrzekł Piotr — ale ja petycyi pisać nie umiem.

— Jakto?...—zadziwił się hadzi Christo. To się pisze... o... pokazał palcem na dłoni.

— Niekoniecznie. Każ abadžemu zrobić kondury albo kondurdżemu potury: czy potrafi? Jam w robieniu petycyi nie terminował.

To przekonało hadzi Christa. Głową wstrząsnął, dłonią się potarł i zapytał:

— Jakże to zrobić?

— Pójdź na mizlisz z gębą; na mizliszu jest przecież kitabdzi: on po turecku spisze jak należy, i będzie to daleko lepiej, aniżeli to, cobym ja napisał.

— Chyba że tak... — westchnął hadzi i rozwodzić się zaczął nad nagłą potrzebą.

Nagłość upatrywał w wojnie serbskiej, w wiadomościach o zamiarach rosyjskich i w procesie, który się śmiercią Stanka zakończył.

— Stanko, słyszę—wtrącił Piotr—nie byłby na śmierć skazany, gdyby nie schadzka jakaś...

— A tak... schadzka u mnie w ogrodzie.

— Jakże się ona wydała?

— Ja wydałem... Należał do niej Stanko, Stojan i jeszcze niedorostek jakiś.

— Przecież, hadzi, sumienie wydawać ich nie pozwalało — zahazardował się Piotr na zrobienie uwagi.

— Sumienie?... — odparł. — To im sumienie pozwalało schadzać się w ogrodzie moim, a mnie nie pozwalałoby wydać ich? Ja oskarżony byłem o porozumienie ze Stojanem. Gdybym nie był wydał, byłbym w stanie oskarżenia pozostał i do Akry pojechał.

Naiwne to tłumaczenie Piotr do wiadomości przyjął i w dysputę się nie wdawał.

Hadzi Christo pogadał jeszcze, posiedział i odszedł. Ojca niebawem zastąpiła córka. Ilenka przychodziła do domu baby Mokry często, niekiedy po kilka razy na dzień, w celu zasięgnięcia wiadomości o „nich.“ „Oni“, znaczyło: Stojan i Nikoła. Zrazu wieści dochodziły głuche: następnie wiadomem się stało, że się przeprowadzili pomyślnie; Piotr zamierzał do Bukaresztu pojechać, wstrzymywał się jednak, chcąc podróż swoją tak upozorować, ażeby ze strony władzy nie ściągnąć na siebie podejrzenia najmniejszego. O podróży tej właśnie była z Ilenką mowa.

— I kiedyż?...—zapytała.

— Jak tylko będzie można.

— Od dwóch już tygodni to słyszę... — rzekła tonem wymówki.

— Czybyś chciała, ażeby mnie za moim powrotem Turcy przyaresztowali?

— Ach! nie... — odparła, z akcentem przestrachu w oczy Piotrowi patrząc.

— Cierpliwości trochę... — przemówił do niej Piotr z przyciskiem lekkim.

— Będę już cierpliwą... cierpliwą... — odrzekła.

W czasie, kiedy ona cierpliwość ćwiczyła, ojciec jej na mizliszu z wnioskiem wystąpił. Zgłoszenie się jego do głosu przyjęto z wielkiem ze strony tureckiej zdziwieniem. Jeden na drugiego spoglądali, ramionami ściskali, jeden zaś odezwał się:

— Jeżeli się już raja wyrывa, my chyba na mizlisz przychodzić nie będziemy.

Wekił atoli, co w zastępstwie paszy obradom przewodniczył, głosu mu udzielił.

— Cóż nam powiesz?... — odezwał się. *Ne war, ne jok?*

— Ja—zaczął hadzi Christo — powiedzieć mam to, że nieszczęść wszystkich, jakie na nas spadają, powodem jest oświata.

— Cóż dalej?... — zapytał wekił.

— Na co nam: szkoły i czytelnie, książki i gazety?

— Maszallah, maszallah!... — odezwały się głosy wśród Turków.

— Na co nam ludzi a la Franka?

— Prawda... wielka prawda.

— Napiszmy do padyszacha, któremu oby Bóg dni jaknajdłuższych użytych! i podajmy petycję taką, w którejby stało, że go najwiernopoddanniej błaga-

my, ażeby rozkazać raczył: szkoły i czytelnie wszystkie zamknąć, książki i gazety popalić i chłopców bułgarskich na naukę za granicę nie posyłać. W ten sposób powróci ten sam spokój, jaki istniał, póki nas jeszcze oświata nie napadła... Napadła i fortunę po fortunie sprowadza... Otóż niech kiatybdzi petycję pięknie napisze, my do niej pieczęcie nasze poprzykładamy i paszy effendiemu zanieśliemy, ażeby ją przesłał padyszachowi. I niech nas, biedną raję, najszcześniejszy, najpotężniejszy, najmędrszy, najjaśniejszy i najwspanialszy nasz padyszach od oświaty uratuje i osłoni, jak kwoczek kurczęta od jastrzębia osłania.

— Maszałlah! maszałlah!... — pojedynczo i po kilku na raz odzywali się Turcy.

— Prawda! prawda! — wtórowali im żydzi i obu obrządków chrześcianie.

Wobec jednogłośnego tego uznania nic nie pozostało, tylko nakazać kiatybdzemu napisanie petycji, przeciw której nie było żadnych przeczeń; jedyną zaś uwagę, jaką ona nastroczała, wyraziła się pod postacią pretensyi jednego z Turków: czemu wniosek ów rozumny przyszedł do głowy nie Turkowi, ale chrześcianinowi? Turek więc ów postawił wniosek:

— Niech nadal raja nie ma prawa wyrывать się z rzeczami rozumnymi.

Wekił się jednak za hadzi Christem ujął.

— Cóż on temu winien, że mu rzecz taka do głowy przyszła!...—rzekl.

Na to odrzekł Turek:

— Gdyby był mnie powiedział, jabym jeszcze coś dodał i rzecz ta poszłaby odemnie.

— Cóżbyś dodał?

— Dodałbym to, żeby prosić padyszacha, ażeby każdemu rai, co ośmieli się przemawiać innym, niż turecki, językiem, język ucinać kazał... Gdyby raju nie inaczej, tylko po turecku mówiła, szkółby nie potrzebowała, książek nie czytała i za granicę nie jeździła. Jabym nawet tak zrobił — dodał po krótkim namyśle: poodcinałbym języki wszystkim rajom; bez języka człowiek żyć, bejlik odrabiać i haracz płacić może; zrobiliby się na raz jeden w całym kraju cicho; dzieci by się od nas mówić uczyły i po wymarciu ludzi dzisiejszych nie byłoby w kraju całym języka innego, tylko turecki.

— Uhm... — wekił na to. — Byłoby to zaprawdę dobrze.

— Dobrzeby było... — odezwał się z Turków jeden.

Za tym, słowa te powtórzył drugi, za drugim trzeci, za trzecim czwarty, aż jeden z przeczeniem wystąpił.

— Jakże to... té... — cmoknął i głową pokręcił — języki obcinać?... To trudno.

— Nietrudno... — zareplikował wnioskodawca. — Do sandzaku każdego posłać jedną kompanię wojska, niechby od wsi do wsi chodziła, języki obcinała i psom rzucała.

Z punktu tego wywiązała się dosyć żywa dyskusja, w której ani chrześcianie ani żydzi udziału nie brali. Do głosowania nie przyszło. Kiadybdżi tymczasem

petycję spisał, członkowie rady pieczęcie swoje na niej podciskali; wekił ją dla wręczenia paszy zabrał. Posiedzenie to pamiętnem się stało z powodu, że na niem raja z wnioskiem wystąpić się ośmielił. Hadzi Christo pomysł swój własnością publiczną uczynił i w sumieniu własnem zadowolenie uczuł, był bowiem tego przekonania, że obowiązek patryotyczny spełnił. Swoje zrobił, reszta już nie do niego należała.

W parę po mizliszu tym dni, Piotr dostał do paszy wezwanie. Pasza, jak zwykle, przyjął go uprzejmie i wnet po przywitaniu pokazał mu zaopatrzoną w pieczęcie petycję.

— Ekscelencyo, to *du grec* dla mnie.

— Treść znaną ci, doktorze, być musi.

— Mniej więcej. Wnioskodawca ten mi zrobił zaszczyt, że chciał, ażebym był dokumentu tego autorem.

— Wymówiłeś się, rzecz prosta.

— Naturalnie.

— Byłbyś mi wyświadczył przysługę niemałą, gdybyś był zamiar wyperswadował wnioskodawcy.

— Żałuję, ekscelencyo, żem się tego nie domyślił, byłbym bowiem próbował.

— Czyś nie próbował?... — zapytał pasza.

— Zgoła.

— Obejść cię jednak musiało takie głupstwo kolosalne, którego sprawcą jest jeden z najpoważniejszych spółziomków twoich.

— Ani trochę!.. Popelnianie głupstw tego rodzaju jest przywilejem ludzi poważnych.

— Złośliwy jesteś, mój doktorze... — rzekł pasza.—Złośliwość twoja niemałego napędza mi kłopotu.

— A to?...—zapytał Piotr.

— Głupstwo hadzi Christa zaraziło mizlisz cały i skompromitowało wszystkich bez wyjątku luminarzy tutejszych... Kompromitacya ta kompromituje mnie bezpośrednio, nie mogę jej bowiem pod sukno schować, muszę dokument do Konstantynopola posłać i tam się dowiedzą, że w powierzonym administracyi mojej kraju wybór obywatelstwa składa się z głupców samych. Toć ci, co tu są podpisani, to czoło ejaletu, które, do gorliwości pobudzone, brnąć będzie z głupstwa wielkiego w głupstwo jeszcze większe... Słyszałeś, doktorze, o językach?

— Nie, ekscelencyo...—odpowiedział Piotr.

Pasza, opowiedziawszy o wniosku Turka, tak dalej ciągnął:

— Wniosek ten upadł, ale jest nadzieja, że wystąpi on pod nową jakąś postacią... Ludność muzułmańska ogromnie jest na chrześcian rozdrażniona i propozycyę obcinania języków zmienić może w inną, mniej radykalną, ale niemniej groźną.

— Ha!...—westchnął Piotr.

— Owóz—prawił pasza—wezwałem cię dziś, doktorze, dlatego, że mam cię o przysługę pewną prosić.

— Jestem na twoje, ekscelencyo, rozkazy.

— Czybyś pojechał, gdybym cię o to poprosił, do Bukaresztu?

— Pojechałbym.

— Dla widzenia się z komitetem?

— A?

— Z komitetem pozostajesz na stopie... dobrej?

— Nie, na zlej.

— Obarczyć cię chcę misyą... Podejmiesz się?

— Jeżeli się podjąć będę mógł.

— Chodzi mi jeno o to, ażeby komitetowi w do-
kładności całej i tak, aby uwierzył, zakomunikować
słowa moje... O nic, tylko o to...

— Tego się podjąć mogę... — odrzekł Piotr.

— Powiadomiony jestem, że on przysposabia
wyprawę, mającą na celu zrewoltowanie kraju... Po-
wiedźże odemnie: niech tego nie czyni... Niech for-
muje legiony bułgarskie w Serbii, niech się bawi
w odezwy i manifesty, niech szuka dróg politycznych,
dyplomatycznych, jakich zechce, ale niech Bułgarii
nie zaczepia, albowiem (tu pasza starał się mówić do-
bitnie) wywoła ze strony rządu represalia surowości
bezwzględnej... Na punkt każdy, w którymby się
ruch najmniejszy objawił, puścimyśmy baszybuzuków
i Czerkiesów i pozwolimy im w krwi się skąpać.

Gdy pasza wyrazi powyższe mówił, oczy błyszczały mu blaskiem zwierzęcia drapieżnego. Z po-
za gładkiego, polorem cywilizacji powleczonego czło-
wieka, przeglądał tygrys.

Piotr mu w oczy patrzył i milczał.

Pasza się umitygował. Blask w oczach jego
przygasł, i tak dalej mówił:

— Zechcesz mi przysługę tę wyświadczyć?

— Najchętniej, ekscelencyo.

— Nie wymagam, żebyś negocyował, tylko
ostrzegł i zapewnił tych panów, że postanowienie to
jest niezłomne i że będzie wykonane literalnie...

Niechże mają litość nad ludem biednym, którego obrońcami się głoszą... Mają do popisowywania się Serbię... mogą formować legiony, będzie to i bardziej po rycersku i roztropniej... Powiedz im to, doktorze, nie od siebie, ale odemnie... Zdaje mi się, że nie wymagam po tobie rzeczy niemożliwej.

— Bynajmniej—odrzekł Piotr.

— Owóż... tylem ci do powiedzenia miał... Za powrotem twoim, gdybyś mnie odwiedzić zechciał, będę ci rad, ale uprzedzam cię, że ani zapytam o rezultat misyi, jaką cię obarczam, nie chcę bowiem, ażebyś pomyślał, iż w sposób ten poinformować się od ciebie chcę. Informatorów o zamiarach panów tych mam, wcale pewnych, w gronie ich.

Wyrazy ostatnie paszy przykre na Piotrze sprawiły wrażenie. Znaczenie ich było jasne. Pasza oznajmiał, że w gronie komitetu ma szpiegów, co go o zamiarach i czynnościach rewolucyjnych dostatecznie powiadamiają. Patryotów wszystkich, mianowicie zaś wydatniejszych, znał. Powracając więc z konaku, stawiał sobie w myśli przed oczyma postać każdą z osobna i o każdej powiadał:

— To nie on... Nie, to być nie może...

W duszy Piotra atoli zrodziły się: zwątpienie i podejrzenie, których odpędzić nie mógł.

— A cóż tam?... — zapytała go matka, gdy się z nim po powrocie jego z konaku spotkała.

— Źle, majko...—odpowiedział.

I zdał jej z widzenia się z paszą sprawę.

— Hm?... hm?...—mruknęła razy parę.

— Jeżeli tam pomiędzy nimi znajdują się zdrajcy, w razie takim lepiej chyba na wolę Bożą się spuścić i wszystkiego, na ten przynajmniej raz, zaniechać...

— Nie mów tak, synku...—odrzekła.

— Do czegożbo to doprowadzi?...

— Czy wiesz ty—odparła — po co on cię do Bukaresztu posyła?

— Po to tylko, żebym ostrzegł.

— O! nie!... Wie on, że ostrzeżenie twoje nic nie sprawi, oni bowiem Turków znają... To, co pasza zapowiada, nie jest nic nowego... Baszybuzucy i Czerkiesi byli już puszczani...

— A więc?...—zapytał Piotr.

— Ty, synku, Turków nie znasz... Pasza posyła cię po to, ażebyś im ostatnie jego słowa powtórzył... Nie o ostrzeżenie, ale o słowa te mu chodzi, a to dlatego, że słowa te niezgodę pomiędzy nich wniosą... Jeden o drugim myśleć będzie: „To szpieg“... Rozumiesz ty to, synku?

— Uhm?... — odezwał się Piotr, matce w oczy z wyrazem zapytania i zdziwienia patrząc.

— Ty chyba Turków nie znasz... Jam z nimi długo przeżyła i od nich dużo przecierpiała... Nauczyli mnie oni uśmiechać się, kiedy serce z bólu pęka... Lepiej, powiadasz, na wolę Bożą się spuścić... Od ciebie samego słyszałam, że ojcowie i dziadowie nasi, na wolę Bożą spuszczaając się, przez lat pięćset czekali i nie doczekali się niczego... A teraz... kiedy Serbia... Ale, przerwała, co ja tam, baba, do tego wtrącać się mam!... Dwóch synów straciłam; ciebiebym

stracić nie chciała, ażebyś ty się paszy na wędkę zla-
pać dał i dlatego, kiedy pasza przez ciebie ostrzega
ich, ja ostrzegam ciebie... Ostrzeżeniem pasza osło-
nił te ostatnie słowa swoje, które ci od niechcienia ni-
by powiedział...

Piotr się zamyślił.

Nie miał potrzeby podróży swojej zachowywać
w tajemnicy. Dowiedziała się o niej Anka; dowie-
działa się i Ilenka, skoro nadeszła.

— Jedziesz?...

— Jadę...—odpowiedział.

— Kiedy?...

— Za godzinę...

— Ach!...—wykrzyknęła, do wyjścia się zabie-
rając—bylebym na czas zdążyła.

— Nie powiesz mi: Z Bogiem?

— Powiem, jak wrócę...—z proga odrzekła.

— Co to się jej stało?...—zapytał siostry.

Anka ramionami ścisnęła.

Piotr zajął się przygotowaniem walizki po-
dróżnej. Ułożył w niej odzież, bielizny trochę
i obuwie, narzędzia toaletowe i, kiedy już zamykać
ją miał, wpadła Ilenka zadyszana.

— Bogu dzięki!...—były jej słowa pierwsze, gdy
Piotra ujrzała.

Słowa te rzuciwszy, podała mu w papier owi-
nięty pakiecik. Piotr pakiecik do ręki wziął. Poś-
piesznie widocznie robione owinięcie rozeszło się, z pod
papieru ukazały się przedmioty, których widok w zdu-
mienie wprowadził Piotra; oczy na Ilenkę zwrócił; ona

powieki spuściła, rumieniec na oblicze się jej wysunął.

— Co to?...—zapytał.

— To... to...—odbała.

— Zauszniki, łańcuch, pierścionki, dukacze, perły...—wymawiał Piotr, rozpatrując się w zawartości pakiecika, który w ręku trzymał.

Ilenka parę razy zcicha odchrząknęła.

— Cóż mam z tem robić?

— Oddać...—odrzekła.

— Komu?

Zapytanie to zmieszało ją. Oczu podnieść nie śmiała, z odpowiedzią się zbierała, parę razy z głębi odetchnęła, wreszcie cicho odrzekła:

— Jemu.

— Komu?...—powtórnie zapytał.

— Im...—odpowiedziała głośniej.

— Im?... komitetowi zapewne?

Dziewczyna oczy na niego podniosła, i w oczach jej świecił wyraz wyrzutu niby.

Piotr, na przedmioty te patrząc, mówił powoli:

— Widzę tu rzeczy drogie: złoto, brylanty prawdziwe, perły prawdziwe. Zasili to znacznie kasę ich, do której każdy z nich wkłada co może, i do której wpływają datki postronne. Mamże to, jako datkę postronną złożyć, czyli też któremu z nich do rozporządzenia wręczyć?

— Wręczyć...—odpowiedziała.

— Komu mianowicie?

Odpowiedź poprzednia poszła jej gładko; na tę się zahaczyła.

— Stojanowi może... — podpowiedział Piotr, w oczy jej patrząc.

— Nie.

— Nie Stojanowi...—rzekł przeciągle. Nikole więc chyba?

— Tak...—odpowiedziała.

— Nikole — powtórzył. Dobrze. Dam mu to przy świadkach.

Zdziwiło go powierzanie rozporządzalności klejnotami cennemi chłopcu, którego uczciwości w podejrzeniu nie miał, ale o którym wątpił, ażeby się na wartości złota, brylantów i pereł znał. Wytłómaczył to Ilence i ona na to—westchnęła jeno.

Za przykładem jej Anka poszła: oddaliła się i po chwili z pakieczkiem w ręku powróciła.

— A?...—odezwał się Piotr.—I ty?

— Oddaj to...—odpowiedziała.

— Komu?

— Stojanowi.

— Tak to dobrze będzie. Wręcę im datki wasze obu razem. Stojan się na klejnotach zna i dodał, walizkę zamykając i wychodząc — posłuży to może do pogodzenia ich.

IV.

Ostatnie, na odchodnem przez Piotra rzucone wyrazy wprowiły w zdziwienie, w osłupienie obie

dziewczyny. „Posłuży to może do pogodzenia ich“. Więc Stojan i Nikola w niezgodzie są?

— Oni w niezgodzie?...—zapytała Ilenka Anki.

— Nic nie wiem i nicem o tem nie wiedziała.

— Widziałas ich razem?

— Widziałam. Razem ze sobą dzień cały spędzili, razem do ogrodu wyszli i razem się, kiedy rewizya nadeszła, ukryli.

— I byli ze sobą?

— Jak dwaj bracia rodzeni.

— Zkądże się niezgoda jakaś wziąć mogła?

Zapytanie toż samo mogła Anka zadać. Do umysłu dziewczętom weszło zagadnienie, którego rozwiązania szukać nie mogły we dwie, ale każda z osobna; jednej bowiem i drugiej strzeliło w głowie zapytanie: „czy to nie o mnie niezgoda?“

Zapytanie to strzeliło w głowie Anki, mimo, iż świadkiem naocznym była spotkania się Ilenki z Nikołą w izbie swojej. Przekonana była, że się oni kochają. Przypominając jednak sobie scenę i odtwarzając szczegóły jej w myśli, przychodziła powoli do przeświadczenia, że kochanie objawiło się z jednej tylko strony, a mianowicie ze strony Ilenki. Nikola oznaki onego przyjmował tak, jakby mu one zdziwienie jeno sprawiały. Przytem nie obcym jej był ów w protokule ustęp, który zaznaczył miłość Ilenki do Stojana. Gdy zestawiała wszystko to razem, roilo się w niej przypuszczenie, którego wypowiedzieć przed sobą samą nawet nie śmiała. Przypuszczenie to formułowało się pod postacią podejrzenia. Miałażby Ilenka w dwóch naraz się kochać? Miałażby obu

balamucić? Raz myśl tę odpędzała, znów do niej wracała i wytłómaczyć sobie nie mogła wahania się, jakie Ilenka okazała, gdy szło o wymienienie, komu przeznacza datki.

— Czemu to ja!... jam odrazu: „Stojanowi“, powiedziała.

W umyśle Ilenki przypuszczenia układały się inaczej. Anki nie posądzała ani podejrzewała bezpośrednio; posądzała ją jednak i podejrzewała pośrednio, przyprowadzając sobie na pamięć różne jej słowa i gesty, zwłaszcza zaś usuwanie jej, Ilenki, od posługiwania młodym ludziom, kiedy oni w komórcie przesiadywali. W jakim celu czyniła to? Co w tem miała?

Miłość jest podejrzliwą, bardzo podejrzliwą. Różni braci, siostry, przyjaciół i przyjaciółki nawzajem.

Pomiędzy Ilenką a Anką do poróżnienia wyraźnego, do zerwania nie przyszło; przyszło atoli do tego, że każda z nich zosobna oddawała się badaniu powodów niezgody pomiędzy Stojanem a Nikołą. Sprowadziło to pomiędzy dziewczętami ochłodzenie niejaki, które się w tem wyraziło, że Ilenka, po wyjeździe Piotra, na dzień dopiero trzeci Ankę odwiedziła.

— Nie powrócił jeszcze?

— Nie.

— Kiedyż powróci?

— Nie wiem.

Równie w zapytaniach powyższych, jak w odpowiedziach, czuć się dawał ów chłodek, co po upałach

letnich następuje i zimę zdaleka zapowiada. Anka zapytała o zdrowie hadzi Christicy.

— Skarżyła się majka wczora... — odrzekła Ilenka.

— A dziś?

— Dziś już Bogu dzięki nie skarży się.

— Cóż to było?

— W boku ją kłuło.

— Hadzi Christo cieszy się, jak słyszałam.

— A!...—westchnęła Ilenka. Petycyja do Carogrodu poszła. Cóż o niej Piotr powiada?... — zapytała.

— Cóż? nie. Majka mówi, że sultana o co prosić, to wszystko jedno, co do słupa gadać.

— Może Pan Bóg da, że z tego nic nie będzie.

— Może, nie wiem. Może prędzej zrobi się to, o co Mustafa-bej chce sultana prosić.

— Języki?... — wtrąciła Ilenka.

— O toż ci, duszko, byłoby!...— Odcinano by języki i niewiastom i momicom.

— Nie wszystkim... Powiadają, iżby nie obcinano tym, co by do haremu poszły.

— Którażby tam do haremu iść chciała!

Materyja ta, będąca w momencie owym w obiegu w mieście, jak i na prowincyi, sprowadziła rozmowę długą i posłużyła do przejścia do materyi innej, nie mającej nic z wychodźcami wspólnego. Po między dziewczętami zapanowała rozmowność, która świadczyła, jakby to było źle, gdyby projekt Mustafy-beja do skutku przyszedł, ale o niczem więcej.

Przez godzinę blisko gawędki, jedna ani druga nie wymówiły imienia ani Stojana, ani Nikoły.

Ilenka pod strzechę baby Mokry powróciła nieprzód, aż dnia czwartego. Dawniej bywała w dniu jednym po trzy razy; obecnie w ciągu tygodnia przyszła po raz drugi, a i to byłaby nie przyszła, gdyby się przypadkiem nie dowiedziała, że Piotr powrócił. Hadzi Christo, pakując przesyłki jakieś, kazał czirakowi nadejścia statku czekać, i czirak, pakiet przyniósłszy, powiedział, że Piotra widział. Ten był powód, dla którego Ilenka corychlej się zebrała i pospieszyła. Zdarzyło się tak, że kiedy do bramy baby Mokry dochodziła ze strony jednej, z drugiej dochodził Piotr z walizą i parasolem w ręku. W bramie się spotkali i do jednej z izb dolnych, w której ich spotkała Anka, wkroczyli, Ilenka się parę razy zatrzymywała i odwracała, ale Piotr, ręką drogę naprzód wskazywał i mówił:

— Przodem idź, proszę.

Zatrzymanie się nastąpiło wobec Anki.

Piotr walizkę pod ścianą postawił, parasol na bok odłożył, kapelusz z głowy zdjął i, do dziewcząt się zwracając, przemówił:

— Pozdrowienia, jaknajserdeczniejsze pozdrowienia. Widziałem i Stojana i Nikołę. Oddałem jednemu datek twój, drugiemu datek twój.

Mówiąc to, oddanie zaznaczał skinieniem głowy. Skinął najprzód ku Ilence, następnie ku Ance, i ta ostatnia podchwyciła.

— Mój Stojanowi?

— Stojanowi?...—odparł.—Nikole.

Anka nie na to nie odpowiedziała, ale taką minę zrobiła, jakby mydło połknęła. Minę taką samą zrobiła Ilenka. Piotr wejrzeniem jedną i drugą obrzucił i rzekł:

— Zresztą to wszystko jedno. Stojan datek, co mu się dostał, całkowicie do kasy oddał. Za przykładem jego poszedł Nikola. Zausznice, łańcuchy, dukacze, perły wasze jednakowo się w karabiny i ładunki zmieniają.

Ilenka westchnęła, i Anka westchnęła. Po minie ich miarkować było można, że przejmują je obawa o losy ludzi młodych, którym serca swoje oddały. Piotr się nie domyślał, o co poszło. Gdy mu dziewczęta klejnoty wręczały, nie zanotował sobie, że Ilenka swoje przeznaczyła dla Nikoły, a Anka dla Stojana, roztargniony z powodu, który mu się nasuwał mimo woli jego. Poznać to się dawało ze sposobu, w jaki na Ilenkę spoglądał. Że jednak przypuszczał, iż w sercu jej było miejsce zajęte, zachowywał się przeto względem dziewczyny z taką dyskrecją, co to się narzucać nie pozwala i ranić lęka. Nie był z niego ani romantyk, ani lowelas. Ilenka podobała się mu bardzo, równie z postaci, jako też z tego, co moralną kobiety istotę stanowi. Mimo to trzymał się zdaleka w pogotowiu, bądź do usunięcia się na bok, bądź do podania ręki, stosownie do tego, jakby sama postawiła się wobec tej kwestyi delikatnej, co się nazywa miłością dziewczą, rzeczą, pomiędzy zagadkowami najbardziej zagadkową, raz, jak kryształ kruchą, znów, jak krzemień twardą. Czy on we względzie tym co wiedział? Wiedział jeno, że Ilenka upor-

nością swoją patryotyczną, której nie wzięła ani z ojca, ani z matki, jego samego i czterech innych ludzi młodych od śmierci uratowała. Dla faktu tego cenił ją wysoko, cenił i szanował, kochał nawet, ale tą miłością, którą poszanowanie cechuje i osłania.

Dziewczęta, dowiedziawszy się o losie, jaki datki ich spotkał, milczały. Na obliczach ich widzieć się dawały pomieszenie i pretensye do Piotra za zamianę, jakiej się dopuścił. Z pretensyą wystąpić nie śmiały i ani się na to zanosilo, ażeby która z nich milczenie przerwała. Przerwał je Piotr.

— Nie zapytujecie mnie...—odezwał się—co się ze Stojanem, co się z Nikołą stało.

Obie na niego pytające zwróciły wejrzenia.

— Jeden wyjechał już, drugi niebawem wyjedzie.

— Dokąd?...—zapytały obie razem.

— Stojan udał się do Serbii... Formują się tam legiony bułgarskie... będzie wojnik z niego.

— A Nikola?...—odezwała się Anka, która zapytaniem tem zamaskować chciała wrażenie, jakiego doznała.

— Nikola nie wyjechał jeszcze.

— Jakże to... cóż to... wojnik...—spytała, rzucając wyrazy na chybi trafi.

— Czyś wojników nie widziała?

— To coś tak, jak askiery tureckie.

— To samo... Bułgarscy jednak wojnicy inaczej będą wyglądali.

I opisywać jął mandur i uzbrojenie legionistów; mówił o sztandarze, który Bułgarki wyszyły i oni-

nych, interesować dziewczęta mogących szczegółach. Ilenka słuchała, w końcu, jakby do siebie samej mówiła, odezwiała się:

— I z Nikoły wojnik będzie?

— O, tak...—potwierdził Piotr.

— Czemu do Serbii na wojnika nie pojechał...—zapytała.

— Tyś już tam był?...—wtrąciła Anka.

— Byłem i byłbym pojechał, gdyby... do czynienia nic nie pozostawało innego... — odpowiedział wymijająco. I na mnie może jeszcze kolej przyjdzie.

— Jaby na kolej nie czekała...—prawiała Anka. Ja... ja... gdybym momkiem była... ah!... Czemuż, mój Boże, pory tej nie dożyli ani Ilia, ani Dragan?... Westchnęła i dodała: — Czemuż ja nie chłopiec?

— Przydać się możesz i jako momica.

— Na co?...—zapytała.

— Powybieraj z bielizny starzyznę i skub szarpię, przysposabiaj bandażę, przyrządzaj zawiązki.

— Jakżeż się to wojnikom naszym dostanie?

— Poślemy do Kładowy.

— Gdzież to Kładowa?

— W Serbii...—odpowiedział.

— Gdzie?...—zapytała słuchająca więcej, aniżeli odzywająca się dotychczas, Ilenka.

— Nad Dunajem... w górze.

— Za Szistową?

— A, ba...—odpowiedział Piotr.—Ażeby się Dunajem do Kładowy dostać, minąć potrzeba Szistową, Rahowę, Kom-Palanke, Widdyń i Radujewac.

— To daleko?

— Dwa dni statkiem, można jednak dojechać prędzej żelaznicą po rumuńskiej stronie.

— Oniż jak pojechali?...—wtrąciła Anka.

— Żelaznicą.

— Spieszyło się im.

— Nie to, aleby ich Dunajem Turcy nie puścili.

— Turcyby ich nie puścili?... Bre... bre... A toć oni wojnicy!... Co im Turcy!

Piotr wytłómaczył różnicę sił, zachodzącą pomiędzy wojskiem tureckim liczniejszym, zorganizowanym, wyrobionem a legionem z ochotników się formującym. Tłómaczył istotę wojnictwa i tłumaczenie zakończył:

— I oni będą ginęli i ranieni padali.

Wyrazy te na dziewczętach wrażenie sprawiły, przeraziły je prawie. Im się zapewne wydawało, że wojnika bułgarskiego, jak dawnego charakternika ukraińskiego, szabla, dzida ani kula się nie ima. Dowiedziały się, iż rzecz się ma przeciwnie. Zaniepokoiło je i zainteresowało to. Poczęły Piotra zapytaniami zarzucać, co przeciągało rozmowę, któraby jeszcze, kto wie, jak długo trwała, gdyby nie dano znać o gościu w musafirlyku.

— Kto taki?...—zapytał Piotr.

— Aristarchi-bej.

Piotr oblicze wykrzywił wyrazem niechęci i wstępu, poszedł jednak i z uprzejmością całą powitał wroga, który się do niego słodko uśmiechał.

Przy kawie i fajkach nawpół od niechcenia rzucił pytanie:

— I cóż tam... nasi?... Kiedyż będziemy mieli Republikę bułgarską?

Słowa te podszywała ironia.

— O tem najmniejszej nie mam wiadomości... odpowiedział Piotr.

— Widziałeś się jednak, doktorze kochany, z tymi panami, co rząd narodowy polski malpują i zarazem na Rosyę liczą.

— Widziałem się ze wszystkimi.

— Jakże się im powodzi?

— Pod względem zdrowia, czy inaczej?... — odpisał Piotr.

— Zapytać raczej chciałem: czy otrzymali siedemnaście funtów? które im powiózł...

Piotr milczał.

— Które im powiózł...—powtórzył bej z akcentem przypominania sobie nazwiska.

— Coś o tem słyszałem, ale mnie to nie interesowało... Zawiozłem im od paszy przestrożę, wywiązałem się z zadania i oto jestem.

— Uhm... — mruknął bej, rozglądając dłonią brodę i wąsy.—Legiony się formują?... Czy aby mają ochotników ze stu?

— Marzą o tysiącach.

— Słodkiem jest marzenie... Tembardziej gorzka będzie rzeczywistość... Wiemy, że się tam przystem i wyprawy szykują.

— Jakież?... — zapytał Piotr.

— Naksztalt wypraw Totia, hadzi Dimitra i Stefana Karadza.

— O tem ani slyszalem, ani sluchalem... Moze...
—dodal.

Wiadomem bylo, ze Aristarchi-bej przyszedl w celu wyciagania Piotra na slowa. Dlatego o wyprawy zaczepil i o siedemnastu funtach wspomniat. Piotr atoli na baczności się miał i wiadomości nie udzielił żadnej, z wyjątkiem jednej, dla której, jak się zdaje, głównie Aristarchi-bej, przychodził, a która, prawdziwa co do formy, fałszywą była w istocie rzeczy.

— Kłóć się...—powiedział.

Zapomocą wyrazu tego oznaczył dysputy, dyskusye naturalne i konieczne w ciele zbiorowem, jakim była, złożona z ludzi gorących i z rozmaitych źródeł zaczerpnięte poglądy na rzeczy mających, władza dorywcza, która w momencie owym pochwyciła w ręce swoje ster spraw, agitujących się po za wolą i wiedzą rządu tureckiego.

— Podejrzewają się wzajemnie?... — podchwycił bej.

— Zdaje się... zapewne.

— I o co?

— O!... tak dalece w rzecz nie wgłędałem.

Takim było całe, z powierzonej mu przez paszę misyi, sprawozdanie.

Sprawozdanie istotne złożył matce. Przed nią wypowiedział wszystko, zaczynając zawiadomieniem jej, nie o kłótni w łonie komitetu, ale o niezgodzie między Stojanem a Nikołą, o których ona przedewszystkiem zapytała.

— I o cóż im poszło?

— To ich tajemnica... Ani wiem, ani się domyślam... Kiedym im datki od Anki i od Ilenki wręczał, zauważyłem, że Nikoła takim na Stojana spojrział wzrokiem, jakby się na niego rzucić chciał.

— Pobiją się kiedyś.

— Rozeszli się... Stojan do Serbii, do legionów się udał, a Nikoła w Bałkany pójdzie.

— Czy pójdą w Bałkany czetami?

— Nie... Zauważono, że do przychodzących z Rumunii czet naród nie łączy się dlatego, że czeka, co to z tego będzie i kończy się na tem, że czeta ginie, a naród się nie rusza... Teraz przeto przy kau-dze serbskiej uradzono naród bez czet poruszyć.

— W kraju całym?

— Byłoby to dobrze, ale cóż!... nie można... Apostołowie chodzili, i z tego, co wychodzili, pokazuje się, że gdyby się udało gdzie szczęśliwie początek zrobić, dałby się pociągnąć naród cały... Trzeba podpalić w miejscu jednym i, gdy się zajmie, wówczas pożar pójdzie... Tak z narady wypadło.

— A jeżeli się nie uda?

— Nastąpi to, co mi pasza powiedzieć polecił.

— Turcy — westchnęła — w razach takich nie zartują.

— Ha!... Ważyć się na wszystko potrzeba... Bez tego nie dojdziemy do niczego... Ważyli się Grecy, ważyli się Czarnogórzanie, ważyli się Serbowie, ważą się Hercogowińcy: myż jeno na gołąbki pieczone czekać mamy? Czy to my co innego, niż Grecy, Czarnogórzanie, Serbowie, Hercogowińcy?... Uda się... dobrze; nie uda się... Bułgarya takiego, spodziewać się

należy, dozna bólu, że nim świat zaboli i jeżeli się nikt o nią nie upomni, ból ten na pokolenia późniejsze przejdzie i rozbudzić je będzie... Z pięćsetletniego snu trzeba, majko, szarpnąć bardzo mocno, ażeby rozbudzić.

— Tak, synku... tak... baba na to. Nie wyśpimy sobie nic... Rozbudzić się potrzeba... Tak... od czasu, jak żyję, w oczach moich zmieniło się dużo... Hadzi Christo na zmiany te narzeka i skarży się, ale to dlatego, chyba, że on nie miał synów, co by je głowami swojemi zaznaczyli... Bracia twoi za nie głowy położyli i dlatego nie narzekam, nie skarżę się na nic, ale im błogosławię... Budźmy się, o! budźmy się... Gdzież to się, zapytała, zacznie?...

— Po tamtej Bałkanów stronie...

— Czemuż nie w Ruszczuku?.. czemu nie po tej stronie?..

W Ruszczuku za dużo wojska tureckiego, za dużo Turków, za mało nas, dokoła kraj otwarty i osady tureckie i czerkieskie... Po tej stronie naród bardziej jest zaspany, aniżeli po tamtej... na pierwszy ogień nie pójdzie: po tamtej zaś w górach i hajduckie poparcie się znajdzie... Apostołowie najbardziej obiecujące wiadomości zebrali po tamtej Bałkanów stronie... Stojan, Nikola i wszyscy, co po Podunaju chodzili, niewiele co sprawić mogli... Oto jak, majko, rzeczy stoją...

— A cóż... szpiedzy?..—zapytała.

— Eh!.. — odrzekł. Nasyła ich Aristarchi-bej moc wielką, ale się na nich znają... Dowiadują się oni o tem, o czem wszyscy wiedzą... Donieśli obecnie

o legionach, do których ochotnicy otwarcie kolejną żelazną jadą...

Baba Mokra nie rozumiała wyrazu: „legiony“.

Syn wytłómaczył jej.

— Na cóż dwa grzyby w barszcz: i powstanie w Bałkanach i legiony?..

— Te ostatnie służą ku zasłonięciu tamtego...

— My więc tu mamy na kolej naszą czekać?.. — zapytała.

— A tak...

— Nie z założonemi jednak rękami?...

— Ah!.. — odrzekł. Gdybym w połowie wywiązał się z tego, czego odemnie żądają, miałbym do czynienia wyżej uszu...

— Naprzykład?..

— Chcą, żebym wiedział o wszystkim, co do konaku z Carogrodu przychodzi, co z konaku do Carogrodu wychodzi i co w konaku zamierzają...

— Ja ci w tem pomogę...

— Przez Aristarchi-beja?

— Tć... — cmoknęła z akcentem przeczenia. Aristarchi-bej za drogo sobie płacić każe... W konaku jest dużo takich, co za bakcisz się sprzedają, ja zaś w dugianie mam mastykę taką, która języki rozwiązuje... Spuść się już na mnie, będę wiedziała, o czem wiedzieć należy... A o czem, naprzykład?... — zapytała.

— O tych właśnie szpiegach?..

— Dobrze... Będą mi o nich śpiewali kiadybdzowie i czubukdzowie... To do mnie należy... Cóż jeszcze?..

— Widzieć się potrzebuję z Petem, mehandżim z Kriweny, do którego mam od syna pozdrowienie i od komitetu interes... Chodzi o to, ażeby z Rumunii w Bałkany bezpiecznie ludzi przeprowadzać... Mehana Peta leży w takim punkcie, w którym niepostrzeżenie przepływać można z tamtego brzegu Dunaju na ten, i z tego na tamten, Peto zaś jest człowiekiem, co w czasie procesu ostatniego złożył dowody, że sobie z Turkami radzić umie.

— Peto?... — zamyśliła się. Byłoby z nim najłatwiej porozumieć się, gdyby go sprowadzić można; ale on się sprowadzić nie da... ciężki... A no... pojadę do niego...

— Stojan powiadał mi, że siostra jego jest dziewczyna roztropna i chętna, która i ojca dopilnuje, i sama niejedno zrobić potrafi...

— Zobaczymy... Dziewczyna—to rzecz krucha.

— A Ilenka, majko... — w sensie napomnienia rzekł Piotr.

— Ilenka... a!... — odrzekła. Takich Ilenek na świecie mało... Gdyby Pan Bóg miłosierny dał (oczy do góry wzniosła), żeby się na świecie uspokoiło, byłabym najszcześniejszą, gdybym ją mogła, jako synową, pod strzechę naszą wprowadzić.

— O! majko... — odparł Piotr. Serce jej, jak się zdaje, przemówiło, ale przemówiło nie za mną...

— Mowa serca dziewczęcego, synku, zmienia się z dziś na jutro... dziś lgnie ono do tego, co dobre, jutro do tego, co lepsze... Póki na dziewczynę nie zawołają: zono! póty jej wybór służy... Gdyby Ilence wybierać przyszło pomiędzy Stojanem a tobą...

— Jaby — przerwał — do wyboru nie stanął...

— Czemu?... — zapytała.

— Obok Stojana?... Ze strony mojej byłby to podstęp zdradliwy, tembardziej, że Stojan nieobecny... On nieobecny, za Bułgaryę się bije, życie waży... a ja, z tego korzystając, wkładaćbym się miał do serca, które do niego należy?...

— On się wkradł, kiedy ciebie nie było; tybyś się wkradł, kiedy jego niema... Zresztą nie zależy to ani od niego, ani od ciebie... Hadzi Christowstwo Stojanowi Ilenki nie dadzą, chociażby się on ozłocił chociażby ona za nim przepadała; gdy przeto wkładać się do jej serca nie zechcesz, skończyć się może na tem, że się nie dostanie ani jemu ani tobie, ale... dostać się może lada komu, coby nie dogodziło ani Stojanowi, ani tobie, ani jej.

Piotr nie na to do odpowiedzi matce nie miał. Zdaje się atoli, że baba Mokra zneutralizować nie potrafiła skrupułów, które mu przeszkadzały wobec Ilenki brać na siebie rolę zalotnika. W stosunkach z nią pozostawał zawsze jednakowym. Okazywał jej przyjaźń, ale nadto nic; kiedy Ilenka na niego nie patrzyła, on patrzył na nią i w oczach jego, tych duży zwierciadłach, przebijało się coś więcej aniżeli przyjaźń; ale tego „czegoś więcej“ poznać jej nie dawał ani ruchem ani gestem. Nie zdradzał się przed nią i przed nikim. Matka tylko wyjątek stanowiła. Baba Mokra jednak, handlem i sprawami politycznymi zajęta, czasu nie miała do wyręczenia syna. Dodać również należy, że Ilenka rzadko i na krótko

przychodziła zazwyczaj w porze dnia, w której Piotr i baba nieobecni bywali.

Baba pod pretekstem handlowego interesu jakiegoś do Szistowy wyjechała z Ruszczuku, interes załatwiła i za powrotem zatrzymała się w mehanie Kriweńskiej.

W mehanie i koło niej nie zmieniło się nic. Tak samo, jak w momencie, kiedy najście milazima spowodowało śmierć tego w służbie gorliwego oficera tureckiego, na odzaku gorzały węgle, na okapie stały dzerwy, w kawenie Peto, drzeмиąc, na gości oczekiwał. Wejście baby nie zdziwiło go, pomimo, że było ono pogwałceniem zwyczajów. Niewiasty się w kawiarni nie pokazują. Ponieważ jednak w izbie oprócz gospodarza nie znajdował się nikt inny, Peto bez obiekcyi żadnej przyjął niewiastę i na pozdrowienie jej pozdrowieniem odmruknął.

— Dawnośmy się nie widzieli...—zaczęła baba.

— Nie wiem, czyśmy się widzieli kiedy, odparł Peto...—na przybyłą nie patrząc.

— A popatrzcie na mnie.

Peto oczy podniósł, spojrział i rzekł:

— A... Dawnośmy się nie widzieli... to prawda.

— Przywożę ci od syna pozdrowienie.

Mehandzi żywiej okiem strzelił.

— Od Stojana?

— Do Serbii się udał, do legionów... na wojownika.

— E... dobrze... Byleby — westchnął — głowę nie nałożył. On głowę swoją ma za nieswoją. Ale... a...—dodał—tak trzeba, kiedy się wzięło esnaf taki.

— Mam dla ciebie od niego polecenie.

— Eh?..—zapytał.

— Komitadźowie (na wyraz ten Peto się skrzywił) będą się tędy w Bałkany przemykali... trzeba, żebyś był im ku pomocy.

— Hm?..—mruknął. Jeżeli trzeba koniecznie...

— Koniecznie...—odparła baba.

— Nie możnaby, ażeby się inną jaką przemykali stroną?

— Jedni będą się przemykali stronami innemi, inni tędy.

— Wielu ich będzie?

— Na początek jeden, który nadpłynie dziś, jutro i w łozach się ukryje, potrzeba na niego czekać tej i następnej i może jeszcze następnej nocy.

— Mamże stać, jak bocian nad łozami?

— Stojan powiadał, że... momica twoja...

— A!..—pochwycił Peto i, do drzwi się zwracając, krzyknął: Marika!...

Na wołanie to weszła znajoma nam dziewczyna. Weszła i nieopodal baby Mokry, siedzącej na ławie, stanęła.

— Słuchaj, co baba będzie prawila. Masz na komitadźich w łozach czatować.

Dziewczyna na babę Mokrą, ożywione ostatniemi ojca wyrazami, oczy zwróciła. Baba jej rzecz wyłożyła. Chodziło o to, ażeby w łozach na przybycie wysłańca komitetu wyczekiwać, przybycie jego wedle hasła poznać, zapomocą hasła się z nim porozumieć i z zarośli go wyprowadzić. To ostatnie wymagało ostrożności wielkiej, z powodu czujnych wart pogra-

nicznych i patroli, brzegiem od czasu do czasu przeciągających. Hasła polegały na kombinacji głosów zwierzęcych, a mianowicie skrzeku żabiego i hukania puszczyka. Kiedy baba dziewczynie wszystko to wytłómaczyła, Peto palec podniósł i z akcentem nakazu do Mariki przemówił:

— Pamiętajże, naucz się dobrze: skrzeczeć jak żaba i hukać jak puszczyk. Rozumiesz?

Dziewczyna gestem ojcu odpowiedziała.

— A terazże — mowę do baby Mokry zwrócił — idź, babo, na tamtą stronę, przy ognisku usiądź, pojedz i popij małko, i rozpowiedz niewiastom moim wszystko, co o Stojanie wiesz.

Baba Mokra przy ognisku zasiadła, opowiedziała babce, matce i siostrze Stojana, co wiedziała, i wdała się w dyskusję ze staruszką, która, jak dawniej, tak obecnie, zrozumieć nie mogła, jak Stojan, będąc z pochodzenia Kucuwłachem, Cincarem, zamiast esnafu trgowackiego pilnować i pariczki zbierać, zamiast się ożenić i spokój sobie do śmierci zapewnić, w sprawy bułgarskie się wdaje i po świecie się tłucze. Najbardziej irytowała ją sprawa zaduszenia milazima.

— Zadusił milazima... za co?.. na co?.. Milazim bułkę ścisnął... — ramionami wzruszyła. Od czegoż bułki? Tak bywało dawniej i zawsze od wieków, i... Stojan zmienić to chce?.. Czy to kto słyszał?.. — westchnęła. Bułka skoro się nie schowała... nie ma co... taki już nakaz. Milazim nic nie był winien...

V.

Ilenka rzadko do domu baby Mokry zachodziła, a przychodziła zazwyczaj w porze dnia, w której baba i Piotr znajdowali się po za domem. Dnia pewnego atoli wybrała porę taką, w której Piotra zastała. Młodzieniec do niej nie wyszedł. Ona obok Anki siedząc i rozmowę z nią tocząc, wciąż się na drzwi oglądała, wreszcie zapytała:

— Czy Piotra w domu niema?

— Jest...—odpowiedziała Anka.

— Gdzież on?

— W odai swojej. On zwykle o tej porze u siebie bywa.

— Cóż robi?

— Czyta... pisze... Książek tyle ma!... ściana cała...

Ilenka nie zadawała pytań dalej; chwilę jeszcze posiedziała, wstała, nie wzięła na siebie jaszmarka i feredzyi, co oznaczało, że na ulicę zamiaru wychodzić nie miała, i wyszła. Obycie jej z domem wyjście to z izby czyniło rzeczą naturalną. Anka na to uwagi nie zwróciła. Ilenka nie zatrzymała się w izbie przyległej, przeszła ją, przeszła następną jeszcze, i wkroczyła do sieni, z której otworzyła drzwi do pokoju Piotra.

Pokój Piotra stanowił w domu to, co nazwaćby się dało rozmaitością w jedności. Była to objęta oprawą wschodnią Europa, skromna, ale prawdziwa. Umeblowanie składało się z kanapy, fotelów, krzeseł, ze stojącego na środku, pismami, książkami i albumami założonego, stołu okrągłego, z pełnej książek szafy, z map, sztychów i tablic na ścianach, ze zwierciadła nad kanapą, wreszcie z dużego, papierami zapełnionego biura, które pod oknem ustawione było bokiem w sposób taki, ażeby siedzącemu przy niem światło padało z lewej strony.

Piotr przy biurze siedział, kiedy za sobą skrzypnięcie drzwi usłyszał. Obejrzał się i zerwał. Z Ilenką się obok stołu okrągłego zeszedł. Dziewczyna się przedewszystkiem obejrzała i w oczach jej zaświeciło zdziwienie, sprawione przez to, że się tu ujrzała niespodzianie w świetle obcym. Oczami powodziła i nie odzywała się. Milczenie przerwał Piotr, któryby może przerywać onego nie chciał, mając przed sobą obraz dziewczyny prześlicznej, co się zapomniała. Czar zapomnienia oblewał ją niejako. Czar ów pęknać musiał od pierwszego wymówionego wyrazu. Piotr jednak wymówił go.

— Pozdrawiam cię u siebie, Ilenko... — przemówił.

Ilenka oczy na niego zwróciła i, jakby się przełękła, zlekka drgnęła.

— Domyślam się, że powiedzieć mi coś masz... — odezwał się.

Dziewczyna odchrząknęła i, oczy spuszczaając, zeicha odrzekła:

— Chciałabym pomówić z tobą...

— Przedewszystkiem więc usiądź... usiądźmy... — zaczął, stół obchodząc i ręką na kanapę wskazując.

Ilenka stała, jakby się wahała, co ma ze sobą zrobić: czy posłuchać, czy nie, wezwania młodzieńca, wskazującego jej rzecz nieznaną, kanapę.

— Chodź, proszę cię, usiądź... — mówił głosem, uprzejmością nabrzmiałym.

Dziewczyna się zwróciła, kroków kilka postąpiła i rumieńcem, niby wiśnia, oblana, na brzeżku kanapy przysiadła. Powodem, dla którego rumieniec na lica jej wyskoczył, było zwierciadło. Dochodząc do kanapy, ujrzała w niem odbicie postaci własnej w otoczeniu książek, sztychów, map i tablic. Zmieszało ją to, osunęła się na siedzenie i czuła się mocno zawstydzoną, z powodu, że przyzwyczajona była do siedzenia z nogami podgiętymi. Na brzeżku było jej niedogodnie. Musiała się, niby na płocie, utrzymywać w równowadze. Sprężyny, które się po za krawędzią ugiwały, wydawały się jej pułapką jakąś.

— Cóż?... — zapytał jej Piotr — co mi do powiedzenia masz?

— Czerwony krzyż...—odrzekła.

— Czerwony krzyż?

— Tak—odpowiedziała—mając na oczach firanki rżęs.

— Czy jest to ten czerwony krzyż, który przenośne szpitale wojskowe za godło sobie wzięły?

— Nie wiem.

— O cóż ci chodzi?

Ośmielona uprzejmością, z jaką jej Piotr pytania zadawał, odpowiedziała:

— O ten krzyż czerwony, przy którym ranionym posługują niewiasty. Słyszałam o nim, ale nie wiem, co to jest...

— Chcesz więc, żebym ci opowiedział.

— Opowiedz mi.

— Chętnie.

Rzekłszy to, wstał, do biura podszedł i powrócił po chwili z broszurą i z arkuszem papieru w ręku.

Przez czas, kiedy on wśród papierów szukał, Ilenka potrafiła usiąść wygodniej. Ręką po za sobą powierzchnię kanapy nacisnąwszy, przekonała się, że niema w niej pułapki żadnej i posunęła się. Piotr, do broszury zaglądając, opowiadał jej o ambulansach, a opowiadając, pokazywał na arkuszu odbite modele wozów i urządzeń, należących do tej instytucji filantropijnej, przystosowanej do wojny, a będącej wymownem wojny potępieniem. Ilenka słuchała, przypatrywała się; budziło to w niej zajęcie wielkie. W opowiadaniu Piotra o zbieraniu ranionych na polu bitwy, o przenoszeniu ich i opatrywaniu, widzieć się nie dawała rola kobiet. Dziewczyna więc, ośmielona sposobem, w jaki wykład swój prowadził, zainteresowała go:

— A niewiasty?

— Wiedzieć chcesz, jaki one udział w pielęgnowaniu ranionych biorą?

— Tak...—odrzekła.

— Pomocniczy. Rany sprowadzają choroby, których dogłądanie powierzane jest siestrom miłosierdzia.

— A co to... siostry miłosierdzia?

— Rodzaj zakonnic.

— Zakonnic?..—rzekła tonem takim, jakby doznała zdziwienia niemiłego.

— Zakonnic—odrzekł—ale nie takich, co zakonowi na życie całe przysięgają. Obowiązują się one chorych w czasie wojny, póki trwa pielęgnować.

— A potem?

— Wracają do zajęć zwykłych. Od dozorczyń tych niewymagane są śluby żadne, ani nawet wyznawanie religii pewnej: mogą być prawosławne, katolickie, protestantki, żydówki, Turczynki nawet.

— Chyba nie Turczynki...—zauważyła.

— Mogłyby być, gdyby zechciały. Prawa czerwonego krzyża temu się nie sprzeciwiają.

— Jakże to piękne! Więc i ja na przykład...

— Co?..—zapytał, widząc, że się Ilenka z wypowiedzeniem myśli powstrzymała.

— Mogłabym do czerwonego krzyża wejść?

— Czemu nie!

— Zrób...—głęboko odetchnęła—zróbże tak, żebyś weszła.

Głos jej brzmiał tonem prośby.

Piotr się w nią z wyrazem zapytania w oczach wpatrzył.

— Zrób...—powiedziała i zapytała: nasi wojnicy w Kładowie?

— W Kładowie... odpowiedział od niechcenia, zakłopotany będąc żądaniem.

— Zrób, żebym do Kładowy pojechała.

— Uhm... — głową wstrząsnął. Nie tak to łatwo.

— Wyprawileś przecież Stojana i...

Zdawało się, że imienia zapomniała, więc Piotr jej odpowiedział:

— Nikołą.

— Wyprawileś ich. Tak samo wypraw i mnie, a ja na stronie rumuńskiej do żelaznicy wsiądę i wprost do Kładowy pojedę. Niech i ja się przydam na co.

— Oddałaś klejnoty twoje, uratowałaś siedmiu ludziom życie: oddałaś więc już usługi większe, aniżeli każda inna. Przydałaś się już... — perswadował jej.

— Niech... ale... — bąkać poczęła. — Jabym jeszcze przydatną być chciała. W Kładowie.

— To bo trudno, bardzo trudno...

— Zechciej jeno...—prosiła.

— To trudno... — powtórzył. — Jeżeli użyteczną być chcesz, przydać się możesz bez tego.

— Ja bo... — zaczęła z pewnem w głosie drżeniem — ja... przyznam się tobie, dlaczego do Kładowy chcę.

Piotr zamilkł, spodziewając się, że mu Ilenka wyzna swoją dla Stojana miłość.

— Ja do Kładowy chcę — ciągnęła, patrząc się na ręce własne — dlatego... że... w domu wybyć nie mogę... Ojca mego i mająkę moją miłuję, ale... z oczu. bym im zejść chciała na tak długo, póki ta fortuna nie minie. Przez ten czas niema dla mnie ucieczki lepszej

nad czerwony krzyż, o którym slyszalam i teraz od ciebie dowiedzialam się napewno, że niewiasty przyjmuje. Wypraw mnie tam.

— Ani w Kladowie, ani gdzieindziej w Serbii niema czerwonego krzyża...—odrzekł Piotr.

Ilenka z wyrazem niedowierzania w oczach wpatrzyła się w niego.

— Niema...—powtórzył. Instytucya ta istnieje na mocy konwencyi, to jest: umowy pomiędzy państwami, które do niej przystąpiły i dlatego przy woj-skach tam czerwonego krzyża niema.

— Czyż w rzeczy samej?... — zapytała nie całkiem jeszcze przekonana.

— Mówię ci prawdę szczerą.

— Cóż ja pocznę?... — rzekła, — oczy podnosząc i w oczy Piotra patrząc.

Spojrzenia ich skrzyżowały się. Jedno było pytające i drugie pytające. Skrzyżowały się, nie jak żelaza dwóch szpad, ale jak dwa snopy promieni, skupiających się w jedno na szkle wypukłym. Ze skupienia promieni ocznych Ilenki i Piotra nie wywiązało się nic takiego, coby zanotować należało. Fakt w ten jeno wyraził się sposób, że w oczy sobie spojrzeli.

W oczy sobie spojrzeli.

I tyle.

Niekiedy spojrzenie sobie w oczy niezmiernie wiele znaczy. W tym wypadku sprawiło ono to, że Ilenka oczy w dół spuściła i cicho rzekła:

— Szkoda.

Piotr zaś nie odrzekł nic, pomimo, że mu na usta cisnęły się wyrazy: „Stokroć lepszą, aniżeli krzyż czerwony, dla ciebie, dziewczyno przepiękna, ucieczką byłby dom mój, byłyby objęcia moje!“ Wyrazy te na usta mu się cisnęły; nie wygłosił ich jednak, ramionami jeno ścisnął.

— Szkoda... — powtórzyła, wstała i ku wyjściu się miała.

Piotrowi się żal za nią zrobiło, żal taki, jakiego doznaje pozostający w ciemnościach człowiek za znikającym światła promieniem, co się do ciemnicy przypadkiem zabłąkał.

— Poczekaj...—odezwał się.

Dziewczyna się zatrzymała.

— Widziałas to?...—zapytał, otwierając na stole album z widokiem okolic nadreńskich.

Ilenkę to zajęło. Stojąc, przypatrywała się. Piotr jej krzeselko przysunął, usiadła, przypatrywała się dalej, pytania zadawała, on jej odpowiadał.

— Jakie to ciekawe i piękne!... — odezwała się.

— Piękności podobne są i u nas w Bałkanach, nad brzegami rzek naszych i legendy nasze są piękne, ale tego widzieć i odczuwać nie umiemy.

— Czemu?...—zapytała.

— Oślepia nas i ogłupia panowanie obce. Kiedyś, gdy się ukończy, co się zaczęło i my podobnemi rzeczami (na album wskazał) pochwalić się będziemy mogli.

— Zaczęło się...—rzekła Ilenka napół do siebie.

— Zaczęło się...—odrzekł Piotr z westchnieniem.

— Czemu ty na wojnika nie idziesz?... — zapytała nagle.

— Poszedłbym z chęcią—odpowiedział— gdyby nie to, że się krajowi nie samym jeno orężem służy. Mnie w udziale — dodał z akcentem, w głębi którego żal brzmiał—przypadła służba nieoreźna.

Dziewczyna nie na to nie odpowiedziała, ręką po album inne sięgnęła. Album owo zawierało w sobie fotografie osobistości, co się na polu literatury, nauki i wynalazków odznaczyły. Piotr o każdej z nich miał do powiedzenia słów kilka, słów, które przed oczami dziewczyny odsłaniały nowe, nieznane jej dotychczas horyzonty, pokojowej, a pożytek ludzkości ogromny niosącej, pracy. Było to niejako ilustrowanie odpowiedzi, jaką Piotr na zapytanie dał. Ilenka z ciekawością przypatrywała się wizerunkom znakomitości europejskich, ułożonych wedle narodów. Przerzuciła Francuzów, Niemców, Anglików, Włochów i gdy ćwiartkę ostatnią odwracała, Piotr zapowiedział:

— Słowianie.

Dziewczyna zatrzymała wzrok na wizerunku, przedstawiającym głowę, okrytą włosem bujnym, służącą za ramy oblicza bez wyrazu, nie imponującego i nie przemawiającego, i przeczytała: „A. Mickiewicz.“

— Poeta słowiański największy... — objaśnił Piotr.

— Serb?

— Polak.

— Inżynier?

— Poeta...—odpowiedział.

Ilenkę co do narodowości w błąd wprowadziła końcówka; podejrzewała zaś Mickiewicza o inżynierię z powodu, że Polak, nie *mehendys*, był w Turcyi w czasach owych rzadkością.

— Nie myślałabym, że on wielki... — rzuciła uwagę i jęła dalej przeglądać wizerunki przedstawicieli świata słowiańskiego.

Przy zajęciu tem czas jej upływał chyżo; ani się spostrzegła, jak minęła z górą godzina; nie spostrzegł się i Piotr; oboje zaś nie zauważyli wejścia Anki do pokoju, która, próg przestąpiwszy, zatrzymała się i ze zdziwieniem patrzyła na parę, oddając się przeglądaniu albumów. Para ta formowała grupę malowniczą. Ilenka, siedząc na krześle, lekko pochyliła się nad stołem; Piotr stał obok niej, ręką jedną trzymał się poręczy krzesła, na którem siedziała, łokciem opierał się o stół; pierś jego dotykała ramienia dziewczyny, a policzek był od policzka jej tak blisko, że, ażeby na jej licu pocałunek złożyć, potrzebował jeno głowę trochę zwrócić. Zbliżenie takie istot rodzaju ludzkiego płci odmienniej, liczących razem nie więcej nad czterdzieści kilka lat, należy na wschodzie do czynów podejrzanych. Anka przez chwilę w milczeniu stała; podejrzanego nie ujrzała ani usłyszała; mimo to mimowolnie krzyknęła:

— A toż co?

Ilenka drgnęła najprzód, następnie niby skamieniała. Przestрах przejął ją taki, że się na siedzeniu

ruszyć nie mogła. Piotr odwrócił się i rzekł do siostry:

— A... Anka! Czegoś tak krzyknęła?

— Ty i ona?

— Pokazuję jej i opowiadam, com pokazywał i opowiadał tobie.

— No... ale... — zaczęła, chcąc znaleźć wyrazy delikatnego określenia nieprzyzwoitości tego sam na sam, na którem brata i Ilenkę zesła.

— Siądź obok...—przerwał jej Piotr, — może to ciebie teraz zajmie.

— Uhm...—ramionami wzruszyła.

Anki żadne album braterskie nie zajmowało dla tego, że rysunki były niekolorowane, a portrety nie przedstawiały świętych. Odzywała się w niej aspirantka do stanu zakonnego. Zresztą w chwili tej sprowadził ją interes szczególny. Palcem na niego kiwnęła i za drzwi wyszła. Piotr wyszedł za nią.

— Jest ktoś do ciebie.

— Kto?

— Sielaczka jakaś. Zaprowadziłam ją do odai na dole.

— Zostańże z Ilenką.

— Ja z nią nie zostanę...—odrzekła.

Powiedzenie to brzmiało tonem takim, że Piotr odczuł w nim dla Ilenki potępienie. Uwydatniało się ono mianowicie w wyrazach „z nią“. Piotr się domyślił, co to znaczy i nie nalegał. Odpowiedział siostrze.

— Wnet idę.

Wrócił do pokoju swego, celem przeproszenia Ilenki, że z nią dłużej pozostać nie może. Nie potrzebował jej jednak przeproszać. W progu ją spotkał, pożegnała go głową skinieniem, uśmiechem i słówkiem uprzejmem i udała się do Anki, która, w kącie usiadłszy, nie spojrzała na nią i na pożegnanie jej nie odpowiedziała. Znaczyło to: „Nie przychodź do mnie więcej“. W oczach Anki była Ilenka dziewczyną, jeżeli nie zgubioną, to mocno skompromitowaną, pomimo, że sumienia jej nie obarczał grzech pocałunku, którego wspomnienie sprawiało Ance rozkosz niewysłowioną. Takto jednak na świecie się zdarza. Anka na usprawiedliwienie swoje miała przypuszczenie:

— Jeżeli pocałowała jednego raz jeden, ona całować musiała trzech, kto wie, po ile razy... Stojan... Nikola... a teraz i Piotr... O, zgrozo!

Piotr w izbie na dole zastał na sofie siedzącą dziewczynę wiejską, którą po raz pierwszy w życiu oglądał.

— Coś za jedna?...—zapytał.

— Ja od Peta, z Kriweny.

— Z mehany?

— Z mehany...—odpowiedziała.

— Siostra może Stojana?

— Tak... siostra jego, a córka mehandżego.

— Cóż mi powiesz dobrego?...

— Jeden komitadzi przeprawił się szczęśliwie, a drugi przybyć ma dziś w nocy.

— No?...—odezwał się tonem zapytania.

— Ten, co się przeprawił, powiada, że ten drugi z tobą się widzieć musi i potrzeba, ażebyś natych-

miast do Kriweny jechał, inaczej bowiem on do Ruszcuku przyjedzie.

— Wszak przeprawa nastąpi w nocy?

— W nocy...—odrzekła.

— Dobrze... tak się urządzę, że tam na noc stanę; — i zapytał: Cóż ty robisz ze sobą? zostaniesz u nas... przenocujesz?

— Wracam, bezemnie bowiem przeprawa się nie obejdzie...

— Przekąsisz jednak?

— Wóz czeka... Ojciec widzieć się z tobą i niezwłocznie wracać mi kazał.

W tonie mowy i w minie dziewczyny czuć i widzieć się dawała taka służbistość, że Piotr nalegać, ażeby gościnność przyjąć zechciała, zaprzestać musiał. Powtórzył jeno, że wieczorem do Kriweny przyjedzie, i do drzwi dziewczynę odprowadził.

Wyjazd ten niełatwym był do uskutecznienia wobec dozoru policyjnego, znajdującego się w natężeniu ustawicznem. Potrzeba było wyszukać pretekst. W celu tym Piotr się do dugiany udał. Z matką się poradzić chciał. Pretekst atoli nasunął się mu, zanim na miejsce zaszedł. Na ulicy spotkał się z wózkiem, w parę koni zaprzężonym i zajęтым przez trzech, oprócz woźnicy, ludzi, i trzy psy. Ludzie, byli to dwaj kanclerze i jeden sekretarz dwóch konsulatów, włoskiego i angielskiego; psy, były to psy legawe; woźnica zaś był to kawas konsularny. Każdy z ichmościów tych w ręku dubeltówkę trzymał, każdemu przez plecy zwisała torba. Widocznem było, że się na polowanie wybrali a wybrali się zapaśnie,

albowiem w wózku strzelb i torb jeszcze po parze mieli.

— Stój!...—zawołał jeden z nich na kawasa, gdy Piotra zobaczył i, do Piotra się zwracając, rzekł: Siadaj z nami!

— Poczekajcież, niech się wybiorę.

— Nie czekamy ani chwili.

— Przecież...

— Niema: przecie...—odparł. Masz dwie strzelby i trzy torby do wyboru. Siadaj! Będzie to porwanie ciebie.

Okazyja, jaka się nastąpiła, była zbyt dobra, ażeby się Piotr miał na chwilę zawahać. Oto mu je-no chodziło, ażeby matce dać znać; panom tym atoli tak się „porwanie“ podobało, że i tego zaniechać na-leżało. Wsiadł przeto, konie ruszyły; kanclerz kon-sulatu włoskiego zaintonował pieśń myśliwską; kan-clerz konsulatu angielskiego na wiwat w górę strzelił; panowie ci po śniadaniu pod dobrą znajdowali się da-tą. Bryczka, ostrym unoszona kłusem, przetoczyła się przez ulice Ruszczuku; w bramie warta broń przed bryczką sprezentowała; Piotr jechał w towarzystwie wesołem i w drodze dopiero dowiedział się, że wyje-chał na trzy tygodnie.

— Co tam sobie pomyśli matka?...—zapytał sam siebie.

Rady jednak na to nie było. Konie rwały; pa-nowie ci śpiewali i strzelali; psy czekały; przejezdni i przechodnie, którzy wyprawę tę spotykali, stawali, zdumieni widokiem przedstawicielstwa cywilizacyi europejskiej, występującej po pijanemu.

— Wytrzeźwią się...—powiedział sobie Piotr.

Przypuszczenie to okazało się mylnem. Przedstawiciele cywilizacyi byliby się wytrzeźwili, gdyby nie to, że każdy z nich posiadał manierkę z koniakiem, *fine champagne* napelnioną. Popijali, i Piotrowi pić dawali, Piotr przeto, ażeby się nie upić, musiał dyplomatyzować, manierkę do ust przytykał, ale płynu do gardła nie dopuszczał.

Stan, w jakim się panowie ci, zwłaszcza z Anglików jeden, znajdowali, oddał w końcu Piotrowi przysługę. Urzędnicy konsularni mieli zamiar do Szistowy dojechać i tam przenocować. Okazało się to atoli rzeczą niemożliwą.

Włoch i sekretarz konsulatu angielskiego byliby może dojechali; kanclerz jednak angielski dalej jechać nie mógł. Na drodze dwa razy z bryczki się zwalił, potłukł się i dlatego drugą drogi połowę trzeba było jechać noga za nogą, zatrzymując się co chwila, celem poprawienia siedzeń, przyczem potłuczony z manierki pociągał. Z racyi tej ledwie nieledwie późnym wieczorem myśliwi zaciągnęli do Kriweny. Gdy dojeżdżali, wyminął ich wóz, na którym siedziało bab parę i pomiędzy niemi Marika. Piotr ją skinieniem głowy pozdrowił; ona mu pozdrowienia nie oddała.

W Kriwienie kawas przywołać czorbadżego rozkazał i czorbadżi na kwaterze najwygodniej ulokował dostojników konsularnych, których z bryczki na rękach znosić trzeba było. Włoch wciąż śpiewał pięknym, luboć mocno ochrypłym basem i, śpiewając, zasnął; kanclerz angielski wykrzykiwał również ochry-

ple: „*God save the queen!*“ i z okrzykiem tym na ustach zasnął; sekretarz ze stanu niespania w stan snu przeszedł, mrucząc; Piotr się nie rozbierał, położył się i, gdy ucichło, wstał i do mehany się udał.

W mehanie panowała ciemność; drzwi zamknięte były. Piotr zapukał. Słyszeć się dał w sieniach chód i z drugiej drzwi strony odezwało się męskim wyrzeczone głosem zapytanie:

— Kto tam?

— Człowiek z Ruszczuku.

— Jaki?

— Ten, po którego Peto posyłał.

Drzwi się otworzyły i przez nie Peto wyszedł

— Marika powróciła?

— Powróciła... Hm!...—odkaszlnął grubo.

Na kaszlnięcie to ze drzwi wysunęły się dwie jedna po drugiej, postaci, jedna męska, druga niewieścia. Męska się do Piotra zbliżyła i, na stronę go odprowadziwszy, cichą z nim rozmowę rozpoczęła. Rozmowa zakończyła się pytaniem, przez Piotra wygłoszonym:

— Nikola więc?...

— Miał się razem przeprawić ze mną, wstrzymać się jednak musiał. Przeprawi się dziś i jak tylko nadejdzie, natychmiast w drogę ruszamy.

— No, pora już... — odezwał się Peto.

Mimo Piotra i komitetowego wysłańca przesunęła się postać Mariki, odeszła i znikła w cieniach nocnych. Piotr zwrócił się w stronę, w której ona znikła; towarzysz jego uczynił to samo; Peto odszedł pod orzech; nastąpiło nasłuchiwanie i oczekiwanie, na któ-

re pomiędzy trzema tymi ludźmi umowy nie było. Nasłuchiwanie i oczekiwanie ułatwiała noc cicha, lubo pochmurna. Gromadzenie się na zachodniej stronie i posuwanie w górę obłoków ciemnych zapowiadało deszcz, burzę może. Tymczasem jednak panował w naturze spokój, ów spokój, co zazwyczaj burzę poprzedza. Od brzegów dunajskich dochodziło odzywające się tu i owdzie skrzeczenie żab i Piotr, który hasła znał, zapytywał siebie: „Jak też się rozpozna to skrzeczenie, które do kombinacyi hasła wchodzi?”

Upłynęło pół z okładem godziny i Peto się z akcentem zaznaczenia odezwał:

— O!

— Co?..—zapytał Piotr, podchodząc do niego.

— Już...—odpowiedział i dodał: Gdy nadejdzie do kaweny wejdzie; światła nie zapalajcie, nagadajcie się sobie, a tu ja i Marika uważać będziemy.

W chwili tej słyszeć się dało huknięcie puszczyka, które się powtórzyło i ze skrzeczeniem żaby w jedno niejako zlało. Powtórzyło się toż samo raz jeszcze i raz jeszcze, i raz jeszcze, za razem każdym w sposób nieco odmienny; następnie się uciszyło, upłynęło minut kilka; na zachodzie odezwał się grzmot i od strony traktu ukazały się dwie, szybko idące postaci.

— Piotr?...—zapytał głos męski.

— Nikoła!...—odpowiedział Piotr.

Trzej spiskowcy do środka mehany weszli; Peto i Marika na warcie pozostali.

Rozmowa pomiędzy komitadżimi trwała niedługo. Pół godziny nie minęło, jak z mehany wyszli. Peto zapytał:

— No?

— Idziemy... — odpowiedział ten, co Nikołę poprzedził.

— Z Bogiem... Niech was Pan Bóg prowadzi... — i, do dziewczyny się zwracając, dodał: Wynieście chleb, sól i butelkę raki, ażeby powiedziane nie było, że ich Peto na drogę nie zaopatrzył.

Dziewczyna wyniosła przygotowaną zawczasu torbę z żywnością i wysunęła się naprzód, jako przewodnik, celem pokazania im drogi.

— Chodź z nami i ty trochę... — rzekł Nikoła do Piotra — mam ci coś jeszcze do powiedzenia od siebie

Oni dwaj pozostali nieco z tyłu. Nikoła zapytał:

— Chcesz ty wiedzieć, dlaczego ja... tak... ze Stojanem?

— Naturalnie, iżbym wiedzieć chciał; wydaje mi się bowiem twoje, z przyjacielem i z towarzyszem, z którym być powinienes jak człowiek jeden, zerwanie, bardzo dziwnem i prawie występniem.

— I mnie się tak samo ono wydaje... — odrzekł Nikoła.

— Cóż więc? Czemużeś się z nim nie pogodził?

— Bo pomiędzy nim a mną stoi...

— Co?

— Pytaj: nie co, ale: kto?

— Któż tedy?

— Ilenka... Ona pomiędzy nas weszła, ona!... Jak się to stało, albo ja wiem!... Ona weszła i skoro pomiędzy nim a mną stanęła, w chwili jednej takim do Stojana przejąłem się żalem, taką do niego

powziąłem nienawiść, żem miał ochotę tam w podziemiu udusić go, jak on milazima udusił!... Ha!

Odsapnął i westchnął.

— A jeżeli ona jego kocha?...—odezwał się Piotr po chwili.

— Nie wiem... Właśnie, że o tem nie wiem. Mnie się zdawało, że ona kocha mnie. Z przekonaniem tem do studni się spuściłem i w podziemiu dopiero dowiedziałem się czarno na białem, że może tak nie jest. Nie wiem... ale — dodał po chwili — jeżeli ona kocha jego, jeżeli kocha jego (głos Nikoły drżał)... jabym mu ją tylko martwą ustąpił!... Nie!... ona Stojana kochać nie może... nie powinna!

VI.

Nagły Piotra z Ruszczuku wyjazd przedstawił się babie Mokrzej pod postacią zniknięcia, które ją zaniepokoiło i zdziwiło. Zdziwiło ją to, że się jej nie opowiedział. Powód zaś niepokoju był wieloraki. Przedewszystkiem odezwało się w niej serce matczyńskie i powiedziała:

— Mój Boże, toć to już trzeci... trzeci i ostatni!

Następnie nie wiedziała, co się z nim stało. Wedle tego, że, jak jej Anka opowiedziała, przychodziła do niego jakaś dziewczyna sielaczka, domyslała się,

że dziewczyną owa Marią była, przypuszczała przede-
to, że się on z Ruszczuku wydalik. Z tego jednak, że
z domu wyszedł w odzieży powszedniej, iż nawet pal-
tota nie wziął, wnioskowała, że go Turcy znienacka
przyaresztowali może. W takich, jak ówczesne, wa-
runkach, wszystkiego spodziewać się było można.
Przyaresztowali i schowali.

— Dowiem się o tem... — rzekła sobie, licząc na
stosunki swoje.

Dlatego też, gdy wieczorem Piotr się na wiecze-
rę nie zjawił, Ance zaleciła, ażeby w kwestyi zni-
knięcia jego obojętność wobec sług i wobec wszy-
stkich okazywała.

— Jakby cię to nie obchodziło zgoła...

Do zlecenia tego ściśle w stosunkach z ludźmi
stosowała się sama; nikogo o Piotra nie pytała; tylko
na rozmowy urzędników z konaku i zaptich, co do niej
na mastykę zachodzili, pilnie ucho nadstawiała. Nie-
pokoilo ją to jedniak. Co to się stało?

Drugiego dnia po zniknięciu Piotra, przy wlece-
rzy, Anka odezwiała się do matki:

— Chyba jedna istota wiedzieć może.

— Jaka?

— Taka, co progu naszego nigdy już nie prze-
stąpi.

— Powiedzże, kto to?

— Hadzi Christostwa momica.

— Ilenka?

— Oua.

— Czemużby progu naszego przestępować już
nie miała?

— Bom ją, majko, zeszła sam na sam... z Piotrem... w Piotra pokoju.

— Cóż więc?

— A no... Bawiła u niego godzin ze trzy, jeżeli nie więcej. Przyszła była do mnie, posiedziała trochę, z odai wyszła i nie wracała, nie wracała... dziwiłam się, gdzie i co ona tak długo robi, aż sielaczka nadeszła i jam Ilenkę w Piotra pokoju zastała. Wierzyć nie chciałam oczom własnym. Toć Piotr, tak długo z nią zabawiając, powiedział jej co zapewne... Kiedy z Bukaresztu powrócił i o legione bułgarskim opowiadał, przypominam sobie, przymówiła mu, czemu wojnikiem nie został.

Baba wysłuchiwała oskarżenia tego i znalazła w niem dwie strony, z których jedna ją pocieszyła, druga się jej pod postacią zapytania przedstawiła. Pocieszyło ją zbliżenie Ilenki do Piotra. W zbliżeniu tem, mimo, że pozory córkę oburzyły, naganego nie upatrywała nic. Piotra znała ze strony skrupulatności honorowej i pewną była, że uszanował cześć dziewczyny. Znała jednak Ilenkę ze strony gorącości jej patryotycznej i przypuszczała, iż ona dlatego tak długo u niego zabawiła, ażeby go na teatr wojny wypchnąć. Przypuszczała przeto, że Ilenka, co do zniknięcia Piotra skazówki jakies dać będzie mogła.

— Zapytam jej...—pomyślała.

W tym atoli względzie przedstawiła się trudność. Należało do hadzi Christostwa pójść; rzecz do uskutecznienia łatwa była; ale ani przy hadzi Chri-

ście, ani przy hadzi Christicy pytać nie wypadało. Nie wypadało nawet mówić przy nich, że się Piotr niewiadomo gdzie podział.

Poszła przeto baba Mokra do hadzi Christostwa; z hadzi Christicą na rozmowie z godzinę przesiedziała i kiedy ona o chorobie swojej, na którą często zapadała, wspomniała, chorobą tą zajęła się, jakby swoją własną.

— Kolki, duszko... kolki ciebie spierają?

— O, dżanem, jak jeszcze! Jak zeprą niekiedy, to wydaje mi się, że pękne.

— Biednaż ty, biedna.

— Ah! — westchnęła hadzi Christica, głową kręcąc.

— A jaż—zawołała—lekarstwo mam! Dał mi je hekim jeden, Madziar.

— O, gdybyś ty może lekarstwa tego choć trochę dała!

— Dam, czemu nie, dam. Ot—rzekła, wstając—niech Ilenka ze mną idzie, to ci wnet przyniesie. Później ja do dugiany pójdę i do domu nie wrócę, aż wieczorem, a tymczasem kolki ciebie zeprzeć mogą.

— Oj, że mogą, to mogą, przychodzą tak, niewiadomo zkąd, jakby z nieba spadały.

Rzekłszy to, do córki się zwróciła i tonem rozkazującym do niej się odezwała: Zabierajże się!

Baba Mokra na drodze nic do Ilenki nie mówiła, przyszedłszy zaś, wprowadziła ją nie do musafirlyku, ani do swojej, albo Anczynej, izby, ale wprost do pokoju Piotra.

Dziewczyna się na progu zawahała, jakby się przestąpić go lękała.

— Chodź—wezwała ją baba.—Piotra niema.

Gdy zaś Ilenka weszła, drzwi zamknęła i zapytała:

— Czy wiesz, że Piotr kędyś znikł?

— Znikł?! — tonem przerażenia wykrzyknęła dziewczyna.

— Oto już dzień trzeci, jak go niema. Gdzież on? Czy nie wiesz? Czy nie domyślasz się?

— Nie—odrzekła—ramiona powoli wznosząc.

— Mówiłaś z nim o wojnikach?

Zarumieniła się i odrzekła:

— Mówiłam.

— I wstydyłaś go, czemu się z niego wojnik nie zrobił.

— Nie — odparła z namysłem. Jam go nie wstydyła.

— Dobrze to sobie przypominasz?

— Pytałam, czemu on nie w Kładowie i on powiedział, czemu; ale potem, gdy pokazał...—palcem na album wskazała—jużem go pytać nie śmiała.

— Czemu?—zapytała baba Mokra.

— Bo są ludzie więcej, aniżeli wojnicy, warci.

— Cóż się z Piotrem moim stało? — wyrzekła baba Mokra z akcentem, nacechowanym boleścią. Na Ilenkę spojrzała i w spojrzeniu zjawił się wyraz nie ten, którym się wobec Turków popisywała, ale wyraz zatroskania macierzyńskiego, wyraz smutku i przestachu. Oh!—westchnęła, jakby jej serce pękło.

— Babo., majko... — przemówiła Ilenka, przystępując do niej.

— To już trzeci, trzeci!—jęknęła baba. Z oczu puściły się jej łzy.

Zapłakała i Ilenka. Skoro jednak baba dziewczynę płaczącą ujrzała, wnet oczy sobie otarła, z głębi piersi odetchnęła i rzekła:

— Do roboty iść potrzeba...

Rzekła to i do wyjścia się zwróciła, gdy nagle sobie przypomniawszy pretekst, pod którym Ilenkę z domu rodziców jej wywabiła, odezwała się:

— Poczekajże chwilkę, dla majki twojej lekarstwo przyniosę.

Powróciła z pakieczkiem w ręku. Pakieczik Ilence wręczyła i sposób, w jaki matka zażywać ma lekarstwo, powiedziała.

Z pokoju Piotra wyszły razem. Baba dziewczyny zapytała:

— Do Anki nie zajdziesz?...

— Nie, babo...—odrzekła.

Baba nic na to nie powiedziała. Zniknięcie Piotra przedstawiać jej się poczęło pod postacią tej drogi, którą poszedł syn jej najdroższy i na której głową nałożył. Wyobrażała już sobie z góry głowę tego syna ostatniego na żerdzi przed miastem, mróz ją na wskroś przechodził, mdło się jej niekiedy robiło, tego jednak po sobie nie okazywała i niepokoju, jaki ją przejmował, niktby po niej odgadnąć nie umiał. Z Turkami żartowała. Nie zmieszała się, gdy do dugiany Aristarchi-bej przyszedł i wręcz jej powiedział:

— Dobrze się, babo, syn twój sprawuje...

— Nie gorzej chyba niż inni...

— Ktoby się po nim tego spodziewał!...

— Oh... Spodziewać się wszystkiego można...

Serce się jej ścisnęło. Domyśliła się, że Turcy jakieś wiadomości mają, wiadomości, o które zapytać już można. Odezwała się przeto:

— Ja bo nie wiem, gdzie on się obraca...

— Nie opowiadał się tobie?...

— No... nie... Cóż się opowiadać ma!... Z niego przecie... człowiek już...

— Nadeszło od kojmaką szistowskiego zawiadomienie o nim i o towarzyszach jego...

Baba więcej nie pytała. Sandiach szistowski budził wspomnienia wyprawy hadzi Dimitra. Rzekła więc jeno:

— Delikanlie...

— Zaiste delikanlie... — odrzekł bej. Szaleńcami być potrzeba, ażeby przez trzy dni pić... Jeden o mało nie utonął, drugi się potłukł. Basza dowiedziawszy się, że do wyprawy syn twój należy, powiedział: Brawo, nasz doktor!... Że jest wiernym padyszacha poddanym, na to nie potrzeba świadectwa lepszego...

Wyrazy ostatnie zdziwiły babę Mokre ogromnie. Bej wspominał o wyprawie pijackiej, a zrazem wiernopoddanczej. Syn jej w wyprawie tej udział wziął. Coby to znaczyć miało?

Zamieszanie wśród domysłów i przypuszczeń potęgowało się jeszcze tem, że o wyprawie owej kajmaką komunikował paszy.

Gubiła się baba w domysłach i z odmetu nic innego wypłatać nie mogła nad nadzieję. Było to du-

zo. Czekala na zagadki tej rozwiązanie i doczekala się go późnym wieczorem. W kącie na sofie siedziała i, o Piotrze myśląc, pończochę robiła, gdy nagle w ciszy nocnej przed domem jej rozległ się wystrzał.

— Panie Boże!...—krzyknęła, na siedzeniu, jakby ją mina poruszyła, podskoczywszy. Tenże sam okrzyk wydała i takież samo podskoczenie wykonała, siedząca obok matki, Anka.

Po wystrzale pierwszym huknął drugi, po drugim trzeci, czwarty...

— Czy nie Stojan!...—krzyknęła Anka.

— Co tobie?...—upomniwała ją baba.

— Z Kładowy.... z wojnikami przyszedł!... — radości tonem wygłosiła dziewczyna.

— Cicho bądź!... cicho!... — syknęła baba; nie wiedząc sama, co o strzelaninie tej myśleć, a widząc zbiegającą się czeladź.

Po przerwie huknął wystrzał czwarty, dalej piąty, szósty. Z ulicy dochodziły odgłosy zgiełku i równocześnie słyszeć się dało silne do bramy kołatanie. Baba skoczyła: w chwili jednej zaszła w niej zmiana. Rzekłbyś, że to nie niewiasta, ale wódz, gotujący się do szykowania wojska w chwili napaści niespodzianej. Do czeladzi się zwróciła i rozkaz rzuciła:

— Do bramy!... furtkę przymknąć i wpuszczać samych swoich!... Zaptim ja otworzę sama!... Každy wpuszczony, jeżeli swój, niech prosto na ogród biegnie!... A ty—do Anki się zwróciła, gdy słudzy

odeszli — u wnijscia do ogrodu stań i każdemu do studni drogę pokazuj... Przy studni ja będę...

Latarnię i zapalki pochwyciła. W chwili jednej czeladź skupiła się przy furtce. Anka stanęła u wyjścia do ogrodu, baba dobiegła do studni.

Stary Kosta ostrożnie furtkę przymknął i przez otwór zapytał:

— Kto tam?...

— To ja...—odrzekł mu głos, w którym poznał głos Piotra.

Otworzył, wpuścił i o uszy Piotra obilo się wołanie zbiorowe:

— Do ogrodu! do ogrodu!...

— Po co?...—zapytał.

— Baba rozkazała, ażeby wszyscy swoi do ogrodu biegli!

— Ze swoich jam tylko jeden...

— Do ogrodu! do ogrodu!... — rozległy się wołania, tembardziej nagłące, że się na ulicy strzelania znów rozpoczęła.

— Baba rozkazała!...

Piotr się powoli ku ogrodowi zwrócił i u wnijscia spotkał Ankę.

— Do studni!—krzyknęła.

Brata poznała i zamilkła.

— Co to znaczy?—zapytał Piotr.

— Myślałyśmy, że z Kładowy przyszli wojnicy nasi... Strzelanie takie!...

— Gdzież majka?

— Przy studni...

— Chodźmy i my tam — rzekł i poszedł przodem.

Łatwo sobie wyobrazić uradowanie, jakiego Baba Mokra doznała na widok syna. Piotr opowiedział, co i jak się stało; uspokojenie powróciło, pomimo, że strzelanie nie odrazu ustało. Wystrzały atoli słyszeć się dały w oddaleniu, które się stopniowo zwiększało, wreszcie cisza powróciła.

Piotr, przy wieczerzy siedząc, opowiadał, jak wyjechał, co przez dni pięć porabiał i jak powrócił. Polowanie, ponieważ do zbytku zakrapiane było, nie wiodło się jak należy. Pod strzałami myśliwych padały nie zajęce, nie kuropatwy, nie pardwy, nie dropie i nie ptactwo wodne dzikie, ale owce, cielęta, kozy, psy, kury, gęsi i kaczki swojskie. Postrzelono przytem ludzi kilkoro. Wyprawa uwieńczona została dolewkiem ostatecznym, dowiezionym do Ruszczuku, gdzie myśliwi, odwiozłszy Piotra do bramy domu jego, na pożegnanie urządzili strzelaninę. Odgłos wystrzałów ściągnął policję. Zaptijowie piesi i konni pospieszili w kierunku powtarzających się huków, na miejsce dobiegli i otoczyli bryczkę, zajętą przez kanclerza konsulatu włoskiego, kanclerza konsulatu angielskiego i sekretarza konsulatu angielskiego, jak noc pijanych. Pijanym był i kawas, co woźnicy funkcję pełnił. Gdyby nie okoliczność ostatnia, nieetykalność osobistości konsularnych, przez kapitulacyę zastrzeżona, byłaby zmusiła zaptich do odstąpienia.

Upicie się kawasa uniemożliwiło jazdę dalszą i pozwoliło zaptim odprowadzić bryczkę najprzód do konsulatu angielskiego, następnie do włoskiego. Kie-

dy oni bryczkę odprowadzili, kanclerze na wiwat strzelali i strzelać nie zaprzestali, aż ich do pokojów sypialnych pozanoszono. W sposób ten zakończyła się myśliwska przedstawicieli cywilizacji europejskiej wyprawa, która Piotrowi posłużyła do zamaskowania wyprawy innego rodzaju. O tej innej Piotr matce sprawę wyrazem jednym zdał.

— Cóż... poszli?...—zapytała.

— Poszli...

Tak się wyraziło sprawozdanie całe.

Szkody, jakie ludzie konsularni mieszkańcom wyrządzili, nie pociągnęły za sobą odszkodowania. Pokaleczeni przez nich sumptem własnym się leczyli: tym, co postradali owce, cielęta i t. d., pozostawiono swobodę opłakiwania strat poniesionych. Turcy rzadziej zawsze byli, kiedy się Europejczycy wobec ludności miejscowej kompromitowali i państwa europejskie o tem, jak się zdaje, nie wiedziały; rzadko bowiem bardzo w składach personelu konsularnego trafiał się dobór ludzi przyzwoitych. Doborem głupców zawieszonych odznaczały się szczególnie konsulaty niemieckie. Na głupcach atoli nie zbywało angielskim, włoskim, francuskim, dyplomatyzującym z wybrykami, które niekiedy mimowolnie i mimowiednie taką lub owaką przysługę ludności wyświadczyły.

Przysługa, jaką Piotrowi wyświadczyły dwa konsulaty: angielski i włoski, była wielka z tego względu, że z osoby jego i z domu jego zdjęty został całkowicie dozór policyjny. Sam pasza Piotrowi to oznajmił.

— Nie dowierzaaliśmy ci, doktorze... Luboć miałem dla ciebie całe, na jakie zasługujesz, poważanie, zawszem jednak myślał o tobie: *Grattez le Bulgare, vous y trouverez un Russe...* Teraz... honor ci zwracam całkowicie.

— Jednak ekscelencyo, nie myślę się eskapadą tą chwalić... odpowiedział Piotr.

— *Une folie...*—pasza na to. Albo się jest, albo nie jest młodym...

Pasza miał go oczywiście za młodzieńca, zupełnie porządnego.

Młodzieniec ów jednak, luboć zupełnie porządny, knowania na drodze „występnej“ prowadził równie na zewnątrz, jak i na wewnątrz. Na zewnątrz, dzięki stosunkom baby Mokry, przysyłał wiadomości, których wychodzenie z biur konaku paszę i Aristarchi-beja w zdumienie wprawiało; wewnątrz komitetowi miejscowemu udzielał wskazówek i środków. Słowem, czynność swoją prowadził krytym sztychem, tym sztychem, który takie, jak tureckie panowanie, samo urabia, środki zaś represyjne, wygnania, ucinania łbów, szubienice, wystawianie głów na żerdziach, doskonałą. Gdyby nie dwaj bracia, Piotr miotnąłby się, jak Stojan i Nikoła. Turcy sami sobie sporządzali wrogów wewnętrznych wydoskonalonych. Bulgarzy nie prosili Turków o to, ażeby ich podbili.

Ilenkę zniknięcie Piotra dotknęło mocno, tem mocniej, że z zapytań baby Mokry wywnioskowała, iż baba posądza ją o danie powodu. Do tego się ona sama nie poczuwała; zapytana jednak, zastanowiła się. Czym ja się też nie przyczyniła? Nurtowało ją to

i gryzło. Odtwarzała sobie w pamięci rozmowę całą i wydało się jej, że Piotra do wyjścia popchnąć mogło jej tyjące się czerwonego krzyża, żądanie.

— To, że ja, momica, na kaugę iść chcę, a on, momak, nie idzie, wstydem go przejąć musiało...—powiedziała sobie i dodała: Szkoda go... szkoda... oh! szkoda...

O Nikole tego nie powiadała, że go szkoda.

Przekonana była, że Nikoła do Kładowy się udał. Często o nim myślała. Wyobrażała go sobie w mundurze, w kołpaku z piórem, przy szabli, z puszką na ramieniu, z pistoletami za pasem. Marzyła dla niego o bohaterstwie, marzeniem tem rozkoszowała się. Lecz nie mówiła o nim, że go szkoda. Pojęcie szkody dotyczyło osoby Piotra i napełniało jej duszę troską. Dałaby za to wiele, ażeby się strata odnalazła. Gdyby Nikołę pod ręką miała, powiedziałaaby mu:

— Idź... szkodę napraw i, jeżeli jej nie naprawisz... nie wracaj.

Wystawić sobie łatwo, jak przyjęła wiadomość, że się szkoda naprawiła sama — że Piotr wrócił. W dłonie z uradowania klasnęła i, nie zważając na to, że jej Anka drewnianą pokazuje twarz, w odwiedziny się do Anki wybrała. Prawda wyznać nakazuje, że tak wymiarkowała, ażeby Piotra zastać. Zastanie atoli Piotra nie znaczyło jeszcze widzenia się z nim. Ileż to razy nie oglądała go, mimo, że wiedziała napewno, iż on w domu jest. Książki go zajmują!.. Gdyby nie książki... I teraz pewna nie była, czy się z nim zobaczy; mimo to poszła.

Przepiórki wabią i dziewczęta wabić umieją. Ilenka, w bramę baby Mokry wszedłszy, przypomniała sobie, że zapytać ma starego Kosty o to koźlę, co się urodziło bez ogona. O koźlęciu tem, jako o prognostyku, mowy pełno było w mahale całej, potem ucichło i niewiadomo, co się z niem stało. Nagle na myśl jej przyszło dowiedzieć się. W bramę więc wszedłszy, poszła nie na schody, ale w lewo ku szopie; że zaś na pewno, gdzie Kosta, nie wiedziała, zawołała przeto:

— Kosta!.. Kosta, bre!..

Głos jej po podwórzu się rozszedł, niby odgłos dzwonka srebrnego. Poczekała chwilkę. Kosta się nie pokazał. Mniejsza o to. O koźlę bez ogona zapyta go innym razem. Gdy od szopy wracała, zoczyła zdaleka służebnicę, co ryż przemywała i przez podwórze zaczęła zapytała jej:

— Gdzie Kosta?..

— Ij, Kosta!... — odrzekła zapytana. Niema go... Do młyna z porummbą pojechał...

Piotr byłby głuchy chyba, ażeby po wołaniu na Kostę i po rozmowie ze służebnicą o obecności Ilenki nic wiedział.

Ilenka na schody weszła, powoli ze stopnia na stopień wchodziła, nos sobie utarła i, mimo drzwi Piotra przechodząc, odkasznęła i odchrząknęła. Po jej przejściu drzwi się otworzyły i Piotr wyszedł. Ona to słyszała i widziała, mimo, że się nie oglądała; prędko i prosto do Anki poszła, pozdrowiła ją, feredzię ze siebie i jaszemka zrzuciła i jeszcze na sofie miejsca

nie zajęła, kiedy do izby wkroczył Piotr. Na jego widok Ilenka zdziwienie okazała.

— O?.. A mówiono, że ciebie niema?..

— Nie było mnie... ale... jestem...

— Dalekoś jeździł?..

— Niedaleko... Nad Jantrę...

Opowiedział, w jaki sposób porwali go urzędnicy konsularni i zrobili uczestnikiem zabawy, do której on skłonności nie czuje najmniejszej.

— Łowów nie lubisz?..

— Nie lubię być mordercą zwierzyny... Na półmisku podoba mi się ona, ale w polu wolę ją w spokoju zostawiać... Towarzysze zaś moi polować chcieli, ale nie mogli...

— Nie mogli?..—zapytała zdziwiona.

— Zachodziły przeszkadzające im okoliczności...

— Pili koniak za dużo...—wtrąciła Anka, której się nie podobało, że brat Anglików i Włochów oszczędza. Pili, pijani pojechali i pijani powrócili...

— Powrócili z hałasem...—rzekł Piotr.

— Strzelanie aż u nas słyszać było...—zauważyła Ilenka.

— Myśmy się jak... przestraszyli!... Mnie się wydało, że to nasi z Kładowy wojnicy przyszli...

— Temu się dziwię... — upomniał Piotr siostrę. Gdzie Kładowa, gdzie Ruszczuk!.. A przytem czy to tak łatwo do warowni wejść...

— Co ja tam o warowni wiem!.. Za pierwszym strzelaniem o małym z przestachu nie umarła, za trzecim, zwłaszcza, kiedym kołatanie do bramy usłyszała, wojnicy nasi na myśl mi przyszli...

— Wojnicy nasi już w Kładowie nie są...—rzekł Piotr.

Obie dziewczyny zwróciły na niego wejrzenie pytające.

— Wyszli już w pole...

— Po co w pole?..

— No... na wojnę... Wojny się na jednym miejscu nie toczy; chodzi się nią po kraju całym...

— I Turcy chodzą?..—zapytała Anka.

— Chodzą i oni...—odpowiedział z uśmiechem na naiwne to zapytanie.

— Uciekają chyba.

— Niekoniecznie... Z Turków dobrzy wojnicy...

— Nie lepsi od naszych...—odparła... Chciałabym jeno wiedzieć, kiedy do nas przyjdą i którą bramą weidą...

— Chciej raczej wiedzieć, którąby przyjsć mogli drogą?..

— O, ja to wiem: na parochodzie Dunajem, albo żelaznicą stroną rumuńską.

— Chodźże do pokoju mego, ja ci na mapie pokażę...—rzekł Piotr, korzystając z okazji, celem zwabienia dziewcząt na rozmowę bardziej treściwą, aniżeli ta, co się dotychczas toczyła. Chodź...—powtórzył tonem nalegania uprzejmego — chodźcie... rozpatrzymy się i poznamy, czego się spodziewać możemy...

Anka zawahała się nieco; ciekawość atoli przeważyła, wstała; za przykładem jej poszła Ilenka i w chwilę później obie dziewczyny stały przed mapą, przedstawiającą Turcyę europejską. Piotr pokazał im przedewszystkiem Ruszczuk, z którego zrobił punkt

środkowy w stosunku do rzek, gór i granic. Pokazał następnie Bułgarię pomiędzy Bałkanami a Dunajem, morzem Czarnem a granicą serbską. Opowiedział dalej o Rumunii, o tem, że to kraj obcy, którego granic wojsku bułgarskiemu, serbskiemu ani tureckiemu gwałcić niewolno. Oznaczył odległość od granicy serbskiej do Ruszczuku i wykazał przeszkody, jakieby do zwalczenia miało wojsko, któreby drogę tę obrało. Wykład ten niemiłe na dziewczętach wywarł wrażenie.

— Więc jakże... — odezwała się Anka. Więc oni do nas... nie przyjdą?...

— Nie możemy liczyć na to.

— A na cóż?

— Patrzcie... Pokazał wizerunek podłużny splotów górskich, idących od brzegów morskich i gubiących się w Serbii. To warownia nasza; natura nam ją dała... Jeżeli warownię tę opanować potrafimy i Turków w niej raz, drugi i trzeci pobijemy, wówczas do oręża się weźmie naród podgórski, wezmą się do oręża ci, co po tamtej stronie nad Tundzą i Maricą mieszkają, weźmiemy się do oręża my, mieszkańcy naddunajscy i jeżeli szczerze a gorliwie poczynać będziemy, Bułgarię naszą wyzwolimy... Oto, na co liczyć można.

Dziewczęta w zadumaniu na mapę patrzyły. Po chwili Anka się odezwała:

— Kiedy tak, po cóż Bułgarzy nasi ów legion postawili?

— Dlatego, że potrzeba nam ludzi, rzemiosła wojennego świadomych... My ludzi takich nie posia-

damy... Turcy nas do wojska swego nie przypuszczali.

— Cóż tam... bić się?.. każdy potrafi.

— Nie każdy...—odpowiedział siostrze. Na kulaki nawet bić się umieć potrzeba... Czyś słyszała o bokserach angielskich?

Anka odpowiedziała, że nic o nich nie wie.

Piotr wziął ze stołu grubą jakąś ilustrowaną księgę i wyszukał w niej zapaśników na kulaki, przedstawionych w pozach rozmaitych.

— I to—rzekł—umieć potrzeba... Dla formowania wojskowych zakładane są szkoły osobne, których my nie posiadaliśmy i nie posiadamy... Nasi przeto w legionie ćwiczą się w rzemiośle.

— Tyś był w jakiejś szkole wojskowej...—wtrąciła Anka.

— Byłem...—odrzekł.

— A toś dlatego wojnikiem się nie zrobił?..—zauważyła.

Ilenka na Piotra spojrzała, a to jej wejrzenie dałoby się przetłómaczyć wyrazami: „Teraz... rozumiem“.

Piotr siostrze nic nie odpowiedział. Uwagę jej mimo uszu puścił i ona zadawać mu jeła pytania, tyjące się losów legionu, o których on miał do powiedzenia bardzo niewiele. Ankę legion interesował z powodu Stojana, interesował ją obecnie tembardziej, że rozstać się musiała z nadzieją prędkiego oglądania wojnika ukochanego w murach Ruszczuku. Rozstać się musiała z rojeniami pięknymi, usuniętymi nagle w perspektywę oddaloną. Wydawało się jej, że Sto-

jan, jak Cezar „przyjdzie, zobaczy, zwycięży“ i z nią „pod wieńcem stanie“. Poznała, że było to złudzenie. Rzeczywistość przedstawiła się inaczej. Na to jednak rady nie było. Zagadła więc o rzeczy innej. Na kanapie usiadła i uwagę na sprężyny zwróciła.

— O to ci marafet!...—powiedziała. Czego to Niemcy nie wymyślą.

Rozwodziła się nad różnicą, jaka zachodzi pomiędzy sprężynami a puchem i znajdowała, że i jedno dobre, i drugie dobre.

Ilenka przez ten czas przed mapą stała. Bałkany zainteresowały ją mocno. Miała chęć Piotrowi zadawać pytań dużo, lecz obecność Anki usta jej zawiązywała. Wreszcie Anka wyszła i ona za nią. Wraz z Ilenką wyszedł i Piotr i, korzystając z tego, że się zatrzymała nieco, rzekł do niej:

— Pozdrawia cię Nikoła,

Dziewczyna odpowiedziała mu na to oprawnem w uśmiech wejrzeniem.

VII.

Niedawne to czasy: lata 1877 i 1878. Bułgarowie przeżywali wówczas momenty ważne. Życie pulsowało tętnem gorączkowym równie dla tych, co nie wiedzieli czego się trzymać, jak dla tych, co od lat dzie-

sięciu rozpoczęli czynność, uznawaną powszechnie za szaloną. Tej ostatniej uwieńczeniem były powstania w Bałkanach. Wywołane—dokonały się pod hasłem, wyraźnie wygłoszonem i w celu jasno określonym, ale na drodze, która była pędzeniem na oślep. Było to pędzenie na oślep, świadczące, że naród żyje, myśli o sobie i posiada chcenia, które drogo okupić gotów. Na okup ofiarował to, co miał: krew. Po Europie rozszalała się i sumieniami wstrząsnęła wieść hiobowa o rezultacie powstania bułgarskiego. W świecie słowiańskim zdarzył się w oddaleniu lat trzydziestu fakt drugi rzezi oficjalnej. Ostrzeżenie walego, z którym Piotr, jeden z powieściowych bohaterów naszych, do Bukaresztu jeździł, okazało się niepłonnem. Wysoka Porta postanowiła we krwi utopić aspiracye, nacechowane miłością ojczyzny i postanowienia dokonała. Miejscowości, w których się aspiracye owe objawiły, w szlachtuz ludzki zmieniła, gruzami zasypała.

— Odechce się Bułgarom ojczyznę kochać.

Tak się wyraziła racya stanu, w imię której bazybuzuey i Czerkiesi mordowali ludność. Pod nożami ich padali młodzi, starzy, niewiasty, dzieci. Osady ludzkie zmieniały się w trupowiska, wydane na żer czworonożnym i skrzydlatym zwierzętom drapieżnym. Idea państwowa otomańska uważała za rzecz dla siebie potrzebną i pożyteczną ukaranie surowe poddanych krnąbrnych. Ukarala!

Wiadomo, jakie kara ta oburzenie w opinii publicznej europejskiej wywołała i następstwa sprowadziła. Byłaby ona Turcyi uszła na sucho w epoce potęgi jej państwowej. Turcyja jednak uległa ogólne-

mu państw losowi: ze szczytu potęgi spadła i spadała coraz to niżej, słabła coraz to bardziej i nie mogła już pozwalać sobie, jak kiedyś, za Solimanów i Selimów. Kary, dawniej przez nią wymierzane, gromadziły się, niby obarczające ją ciężar grzechów, za które nadchodziła kara na nią samą pod postacią następstw politycznych. Następstwa te służą za ramy opowiadania, które prowadzimy dalej.

Wieść o wypadkach bałkańskich odbiła się w Ruszczuku echem bolesnem. Bułgarska, tej wicestolicy, ludność głuchym jęknięła jękiem. Zapanowało osłupienie ogólne, które się wnet zmieniło w ciche płacze niewieście i ponure milczenie mężczyzn. Oblicze Piotra trupa się powlokło bladością, gdy, przy biurze swoim siedząc, odczytał krótkie o wypadkach tych zawiadomienie. I bladość z oblicza jego jeszcze nie ustąpiła, kiedy do pokoju weszła baba Mokra i przed synem stanęła. Przez chwilę panowało pomiędzy nimi milczenie. Baba w oczy synowi patrzyła, wreszcie się odezwała:

— Cóż... nieszczęście.

Piotr odpowiedzieć jej coś chciał, lecz ona go do słowa nie dopuściła.

— Powiadałam to samo, kiedy zginął brat twój starszy i kiedy zginął brat twój młodszy... Tamte były nieszczęścia mniejsze, te większe, ale takie same... Cóż?...—zapytała.

— Matko, mnie smutno i—westchnął—sumienie mi dogorywa... Czemum ja nie w Starej-Zagorze, ale tu?

— Cicho...—rękę wyciągnęła.—Nie gadaj tego... Przyjdzie kolej i na ciebie.

— Tak myślisz, majko?

— Możnaż myśleć inaczej!... Jest przecież sprawiedliwość Boża... Oplacmy tych, co poginęli; myślimy o tych, co żyją.

Piotr się ku matce pochylił; baba głowę jego do piersi przytuliła, ucałowała i, kiedy na krześle napowrót się wyprostował, w oczach jego świeciły łzy.

— Przyjdą czasy cięższe może jeszcze — rzekła i upomnienia tonem dodała: Tyś, pamiętaj o tem, tyś nie sam tylko Piotr. Ty nosisz w sobie brata twego starszego i młodszego.

W sposób ten niewiasta niepiśmienna wypowiedziała prawo logiczne, wedle którego rozwija się stopniowo pochod zdarzeń polityczno-społecznych.

Nie wszyscy jednak myśleli tak, jak ona. Baba jeszcze od syna nie wyszła, kiedy nadbiegła Ilenka. Dziewczyna, nie szukając, jak ongi, sposobów wabienia, do pokoju Piotra weszła wprost. Błada była i zmieszana. Piotr na spotkanie wstał. Ona się zatrzymała i drżącemi usty rzuciła wyraz:

— Adres!...

Wyraz ów, znany od roku 1868, służył za rodzaj postrachu dla ludzi sumiennych. Wówczas mieszkańcy podpisywali „dobrowolnie“ adres, dziękujący za wymordowanie czety hadzi Dymitra. Za cóż obecnie dziękować będą? za wymordowanie nie czety już, ale secin ludności bezbronnej? Ilenka wyraz ten rzuciła i dodała:

— Adres!... ojciec!... Ojciec się tu do ciebie wybiera... za chwilę nadejdzie.

Rzekłszy to, wyszła i do Anki się udała

Kwestya ta tem drażliwszą się stawała, że dawniejszy — gładki, uprzejmy, uwzględniać umiejący sytuacye i fantazye nawet — wali, powołany na inne pole działalności, ustąpił miejsca paszy, uwzględniać nie nie umiającemu. Tamten „dobrowolność“ podsuwał, ten nakazywał. Że zaś hadži Christo upamiętnił się, jako inicjator petycyi przeciw oświacie, do niego przeto posłał adjutanta z rozkazem, ażeby „dobrowolnie“ napisał adres do sułtana i zebrał „dobrowolne“ podpisy. Hadži Christowi samemu na wieść o wypadkach coś podobnego po głowie się snuło. Przerażonemu wydało się, że ratunek jedyny polega na upadnięciu przed Turcyą plackiem i wyparciu się spółności wszelkiej ze „zbrodniarzami“. Przyjął więc rozkaz jako dowód szczególnej ze strony władzy państwowej względności i podjął się z ochotą, z radością niemal, ułożyć adres i w podpisy zaopatrzyć.

— Dobrze, effendim.... — odrzekł adjutantowi na mizliszu...

— *Durbanabak!*... — przerwał mu adjutant.— Na mizliszu zasiadają Turcy i Żydzi, którzy się przeciw padyszachowi nie buntują. Buntownikami jesteście wy, Bulgarzy, wy przeto sami pomiędzy sobą *marefet* ten zróbcie. Ty napisz przed południem, a po południu przyjdzie do ciebie jusbaszi od zaptich i pomoże ci zbierać podpisy.

Oto, czem brzemienne było zapowiedziane przez Ilenkę nadejście hadži Christa.

Gościa przyjął Piotr w musafirlyku. Hadzi Christo do rzeczy przystąpił, nie czekając nawet, aż kawę podadzą. O co chodzi, wyłuszczył i rzekł:

— Pisz.

— Nie, hadzi... — odparł Piotr. Ja nie zrobię tego...

— Czemu?

— Dlatego, że ja sam w tę robotę bałkańską palce umoczyłem...

Hadzi Christo osłupiał, szeroko otwartymi oczami na Piotra się wpatrzył i po chwilce bąkać począł:

— A jaż... ja... chciałem ci Ilenkę i dobro moje całe oddać.

— Dziękuję ci za chęć twoją dobrą, ale...

— Ale — podchwycił — jeżeli adres napiszesz i podpiszesz się, będzie to dla ciebie w oczach Turków zasłona, po za którą nie dopatrzą palców twoich. Skończy się wszystko dobrze i ja ci córkę oddam, swatów jeno przyslij... O tem właśnie mówiliśmy: ja i żona moja. Eh?..—zapytał.

— Nie, hadzi... nie.

— Czy ty wiesz, ile ja ci z ręki do ręki dać mogę?

— Nie wiem...

— Dwadzieścia tysięcy medżidzi... — przerwał z akcentem dobitnym.

— Chociażby.

— Chcesz więcej?

— Za żadne skarby nie napiszę i nie podpiszę się

— Napisać może kto inny... — odparł hadzi. — Ale cóż ty poczniesz, kiedy ja do ciebie z jusbaszim po podpis przyjdę? Zginiesz, jeżeli podpisu nie dasz.

— Nie dam.

— To słowo twoje ostatnie?

— Ostatnie.

— Ha!.. — odezwał się hadzi, wstając. Nie powiesz przynajmniej, żeś dobra twego nie chciał.

Hadzi o rezultacie swojej z Piotrem rozmowy zawiadomił żonę i Ilenkę i, do tej ostatniej mowę zwracając, rzekł tonem zapytania:

— I co jemu w głowie, że ani ciebie ani pariczek nie chce? Nie chodź ty więcej do baby Mokry, bo dom jej zaznaczyło już nieszczęście.

Dziewczyna wzruszyła się i zaniepokoiła; w półgodziny później w izbie, do sklepu z tyłu przylegającej, obok baby Mokry siedziała i jej do ucha półgłosem prawiała. Opowiadała jej o zagrażającym Piotrowi niebezpieczeństwie i o tem, iżby go w razie potrzeby przechować mogła. Baba jej z uwagą i lekkim na ustach uśmiechem słuchała i, gdy skończyła, zapytała:

— Gdzie?

— W komórce. W domu naszym rewizyi robić nie będą, a ja go wprowadzę.

Wyraz ostatni wymówiła z akcentem znaczącym.

— Może się bez tego obejdziesz... — odpowiedziała baba.

I obchodziło się czas jakiś, póki Rosya Turcyi wojny nie wypowiedziała. Wypowiedzenie wojny przez Rosyę stało się w Ruszczuku hasłem łowów na

podejrzanych. Do kategorii tej należeli przedewszystkiem ci, co się na adresie podpisać nie chcieli. Policya zarządziła obławę. Za pierwszym razem wpadło jej w ręce osobistości podejrzanych kilka; za drugim jednak ani jedna, za trzecim ani jedna. Próba czwarta i piąta rezultatu pożądanego nie sprowadziła. Indywidua podejrzane policyi z rąk się wyslizgały i znikaly. Tu był, tu go już niema. Aristarchi-bej wysilał dowcip cały, śledzić kazał i sam śledził Piotra, którego stosunki z konsulatami osłaniały do pewnego stopnia od napaści, usprawiedliwiającej się niczem więcej, tylko odmówieniem podpisu „dobrowolnego“. Z drugiej znów strony stosunki baby Mokry z konakiem neutralizowały zabieglivość policyjną. Piotr uprzedzony bywał o zastawionych nań sidłach. Aristarchi-bej naprzykład domyślał się, że znikanie indywiduów podejrzanych jest jego sprawą, przyłapać go na tem nie mógł. Mimo obostrzonego w bramach, na wałach i na brzegu dozoru, ludzie poszukiwani znikali, jakby się w ziemię zapadali i wynurzali się następnie w szeregach bulgarskich, które się pod skrzydłem rosyjskiem formowały. Niedziw, w rzeczy samej bowiem zapadali się oni w ziemię. Przejsiemiem przez studnię nigdy chyba nie przesunęło się ludzi tyłu, co w epoce obław na podejrzanych. Tędy nie tylko ludzie, ale i tyczące się szczegółów obrony i obwarowań ruszczuckich wiadomości na zewnątrz się wydobywały. Władze w głowę zachodziły, pojąć nie były w stanie, jak się zbrodnie podobne dziać mogły. Powszechnem było w konaku i w plac-

komendzie zdanie, że przewodniczy temu ktoś sprytny, przebiegły i na rzeczach się znający.

— Piotr...—powiadano.

Piotr w konaku nie bywał, urzędowania żadnego nie piastował, na brzegu się nie pokazywał, do kawiarni jeno niekiedy w towarzystwie ludzi konsularnych zachodził.

Przejście przez studnię funkcyonowało regularnie do pierwszej próby bombardowania Ruszczuku ze strony rumuńskiej. Próba się na niczem skończyła, lecz obudziła baczność inżynierii tureckiej, która się przekonała, że niedosyć przystępy do przystani w torpila zaopatrzyć, ale należy jeszcze na brzegach Dunaju kilka baterii usypać. Nastąpiło zwiedzanie brzegów. Wiadomości o postanowieniu tem udzieliła baba Mokra synowi i Piotr rzekł:

— O... to niedobrze, majko.

— Eh?...—zapytała:

— Inżynieria turecka ślepąby chyba była, gdyby nie dostrzegła korzyści usypania baterii w ogrodzie naszym...

— Nie dostrzeże może.

— Może, zobaczymy: zależy to od rodzaju baterii, jaką sztab wybierze.

Nazajutrz po rozmowie tej przez podwórze baby Mokry przeszło z pół tuzina oficerów w towarzystwie szeregowych, niosących tyki, łaty, stoliki, trójnogi, pudła i pudełka. Weszli do ogrodu. Z okna pokoju swego Piotr przez lunetę przyglądał się, jak obserwacye czynili i pomiary brali. Następnie do narady stanęli; narada trwała sporo; wreszcie postano-

wienie powzięli. Z oficerów jeden, odszedłszy w bok nieco, stanął, nogę wyciągnął, żołnierza przywołał i w punkcie, który noga jego wskazywała, kazał tykę wbić.

— Żle... — rzekł sam do siebie Piotr i odchrząknął.

Dalej, tenże sam oficer wbić kazał w punkcie drugim tykę drugą, w trzecim trzecią i t. d. Tyki łączono łałami i niebawem stanęło wytyczenie figury szafca, mającego się w miejscu tem usypać.

Piotr westchnął i odsapnął; po izbie przeszedł się razy kilka; na twarzy jego malował się niepokój.

— Majko... — rzekł do baby wieczorem, — źle. Inżynierowie będą dużo ziemi potrzebowali: studnię odkryją.

— Powiemy, żeśmy o niej nie wiedzieli. Uprzątniemy ślady, jeżeli jakie są.

— Zapóźno, niestety. Przy robotach rozpoczętych warta stoi.

Wejrzenie baby po raz może pierwszy zdradziło zmieszanie. Po chwili jednak oprzytomniała niby i rzekła:

— Mnie, babie starej, cóż zrobić?... Nie wiedziałam, nie słyszałam o niczem, effendim... *bilmem jok*... — przedrzeźniała siebie samą, odpowiadającą przed sądem śledczym. Ty zaś się uchowasz.

— Hm... — uśmiechnął się Piotr uśmiechem zwątpienia.

— Uchowasz się... powiadam ci... wiesz gdzie? W komórcie, w domu hadzi Christa.

— Co?... — odburknął. U hadzi Christa?

— Przechowa cię Ilenka.

I szczegółowo opowiedziała o całym rzeczy tej urzędzeniu. Piotr opowiadania matki w milczeniu wysłuchał. Baba nietylko opowiadała, ale i perswadowała. Przekonywała syna, jakim to jest głupstwem wielkiem życie narażać, jeżeli je ocalić, nikogo nie narażając, można.

W dniu następnym Piotr od rana do wieczora w pokoju swoim pozostał i z okna postęp robót śledził. Nad wieczorem coś osobliwego dojrzał, brwi bowiem zmarszczył, wstał, palto na siebie włożył, przez Ankę, którą w czoło pocałował, matce powiedzieć kazał, ażeby na niego z wieczora nie czekała, wyszedł i nie wrócił.

I nie był obecny przy rewizyi, jaka się jeszcze tejże nocy w domu baby Mokry zaczęła i nie skończyła, aż nazajutrz po południu. Rozwalano ściany, odrywano podłogi, zabrano wszystkie Piotra książki i rękopisy, sprawiono zniszczenie. Anka u sąsiadów przytułek znalazła; baba do więzienia poszła. Stawiono ją przed sądem wojennym, który, niczego z niej nie wydobywszy, ani niczego jej nie dowiódłszy, skazał zaocznie syna jej, Piotra, na rozstrzelanie i na konfiskatę majątku. To ostatnie nastąpić mogło i nastąpiło; pierwsze zaś na czas nieograniczony odłożyć musiano, ogłosiwszy przy odgłosie bębna wszem wobec i każdemu z osobna, że kto Piotra żywego albo nieżywego dostawi, dwadzieścia pięć tysięcy ghurusz dostanie.

Konfiskata majątku obejmowała: dom, sklep i kapitały, u sarafów złożone. Baba z tego uratowała tyle, że się z córką w izbie najętej ulokować mogła.

Wynagrodzenia za Piotra nikt nie dostawał, nikt bowiem, z wyjątkiem baby i Ilenki, o schronieniu jego nie wiedział.

Odkrycie w studni, przez inżynierę zrobione, spowodowało zburzenie podziemia. Dynamitem rozsadzono mury odwieczne i wskutku tego nastąpiło osypanie się urwiska, którego miejsce zajął spadek łagodny.

Anka płakała, płakała za dostatkiem, za wygodami, za nadziejami straconemi; baba ją, jak mogła i umiała, pocieszała, na pocieszenie atoli nic innego wynaleźć nie umiała nad:

— Czekajmy... końca czekajmy...

— Ja, majko, czekam końca na to tylko, ażeby do monasteru pójść...—odpowiadała Anka.

Nic im zresztą nie pozostawało innego, tylko czekać. Cóż mogły dwie kobiety opuszczone w zamkniętej i w stanie oblężenia, na stopie wojennej, pozostającej warowni?

Czekały więc, no i doczekały się takiego uradowania, takiego szczęścia, jakiego się baba Mokra zaledwie dla prawnuków swoich spodziewała.

Uradowanie wyraziło się przedewszystkiem, przestraczem. Do izdebki ich nagle i niespodzianie wszedł Piotr. Na jego widok matka i córka skamieniały.

— Czy to się godzi?... — zawołała baba Mokra.

— Co, majko?...—zapytał.

— Głowa twoja jest oceniona na ghurusz tysięcy dwadzieścia pięć!

— Głowa moja nic już niewarta—odrzekł.

— Co?... Czemu?

— Bośmy... majko...

Wyrazu następnego wymówić nie mógł z powodu ściśnienia łkaniowego, jakiego, chcąc wyraz ów ze siebie wypchnąć, nagle doznał. Opanowało go uniesienie nieopisane. Płakałby i śmiał się zarazem. Usiłował spokój zachować i pohamować się, nie był w możności. Powtarzał:

— Bośmy... bośmy...

Wreszcie wraz z płaczem wybuchem wytechnął:

— Wolni!...

W płacz uderzyły: baba Mokra i Anka.

Przez długą chwilę do porozumienia dojść nie było można. W końcu porozumienie nastąpiło. Piotr matce i siostrze opowiedział o zawarciu pokoju, o wyzwoleniu Bulgaryi i o tem, że wojska tureckie Ruszczuk opuszczają, ustępując miejsca wojskom rosyjskim.

Baba dłonie złożyła, oczy w górę wzniosła i zawołała:

— Boże!... Boże!... synowie moi!...

Piotr jął potem o ukrywaniu swoim w domu hadzi Christa opowiadać.

— Cóż hadzi Christo?...—zapytała Anka...

— Ani się domyślał...

— Ukrywała cię ona?...

— Ona...

— Gdyś wychodził, cóż hadzi mówił?...—zapytała baba.

— Nie widział mnie... Pokazywać się mu nie chciałem, raz dla Ilenki, powtórę dlatego, że on teraz zajęty jest układaniem adresu do białego cara... Układają adres we dwóch z Aristarchi-bejem i tak się zacierzwili, że nie widzieli mnie, gdym mimo musafirlyku przechodził przez izbę, od której drzwi były otwarte.

— Widzisz, co zastajesz?...—odezwała się baba, ręką i oczami wskazując na mieszkanie swoje.

— Wiedziałem o tem... Ha! będziemy pracowali, czegoś się dorobimy.

— Zwróć nam przecie, co Turcy zabrali... — wtrąciła Anka.

— Hm... — ręką machnął Piotr. Zwróć nam może dom zrujnowany i grunt, a reszta rozeszła się...

— Oh, doło!... — zawołała dziewczyna, głęboko wdychając, nie pozostaje mi nic innego, tylko monaster.

— Przyjdą niebawem wojnicy nasi... — odezwał się Piotr, pośrednio na westchnienie siostry odpowiadając.

— Kiedy?...—zapytała.

— Nie wiem.

Anka w zadumę wpadła i uwagę na robotę, którą w rękę trzymała, zwróciła, a Piotr z matką związał rozmowę o interesach, zapowiadających się pomyślnie o tyle, że była nadzieja ożywienia się ruchu handlowego, który wojna powstrzymała. Baba uratowała grosza trochę; Piotr w pugilaresie i w sakiewce pariczek nieco, ułożono więc złożyć to razem i otwo-

rzyć sklep korzenny przy której z ulic, bardziej uczęszczanych.

— Szkoda dugiany naszej... — westchnęła baba.

— Mnie szkoda książek...—dodał Piotr.

— Ale Bulgarya wolna.

— Prawda, majko... — odrzekł. To nam za wszystko starczy.

— Czy wojnicy nasi ci sami, co to byli w legio-
nie w Kładowie?..—zapytała Anka.

— Nie wiem... może... Znajdą się zapewne
i ci...

— Jeżeli się znajdą, na mojem stanie.

— Jak?..—zapytał.

— Przypomnij sobie, com mówiła, kiedyś mnie
do pokoju swego zawołał, przed mapą postawił i na
Bałkany pokazywał.

— Czyż nam nie w Bałkanach zbawienie zawi-
tało?.. Co, majko?.. — do matki się zwrócił. Czy nie
tak?

— Nieszczęścia nasze rosły, rosły, aż się miar-
ka przebrała... A byłaby się nie przebrała i wyzwo-
lenia nie sprowadziła, gdybyśmy byli z założonemi,
jak ojcowie i praojcowie nasi, siedzieli rękami... Krew
ta, co ją w Bałkanach przelali, opłaciła się... Na suł-
tana, co ojce i dzieci nasze mordować kazał, znalazła
się kara.

— Znalazła się...—rzekł Piotr.

Anka, w myślach znów pogrążona, nie zważała
na to, co matka i brat mówili.

Piotr na miasto wyszedł, celem wyszukania do
najęcia sklepiku, odpowiadającego kapitałowi nakła-

dowemu, jaki w handel włożyć można było. Poszukiwania jego w ciągu dni paru pomyślny uwieńczył skutek. Lokal najawwszy, zajął się zakupem towarów i z tem, co się na podorędziu znalazło, rozpoczął sprzedaż drobiazgową, stanawszy sam, jako handlarz i posługacz. Zanim się jednak jako tako urządził, upłynęło dni kilka i w ciągu tych kilku dni dokonana się całkowita zmiana rządu. Wojska tureckie i władze tureckie ustąpiły. Miasto zajęły wojska i władze rosyjskie, które pozostawały tymczasowo, póki się nie zorganizuje rząd narodowy. Co do ostatniego, krążyły pogłoski różne; pomiędzy nimi jedna powtarzała się ustawicznie; tyczyła się ona wojska i sprawiała wyglądanie wojników bułgarskich. Nadciągnięcia ich spodziewano się z dnia na dzień. Nie było wiadomo jeno, którą nadejdą drogą, dlatego nie wyczekiwano ich na żadnym z traktów. Oczekiwanie jednak było ogólne, połączone ze zwykłą w razach takich niecierpliwością, która nareszcie zadowoloną została. Władze oznajmiły o momencie nadejścia wojowników bułgarskich. Mieszkańcy powzięli postanowienie przyjąć ich uroczystie. Ludność na spotkanie ich wyszła i powitała okrzykami radosnemi oddział piechoty, który poprzedzała wysłana naprzeciwko muzyka. Okrzyki muzykę głużyły. Oddział, maszerujący półsekcjami, szedł krokiem regulaminowym; przed oddziałem unosił się w powietrzu sztandar rozwinięty, za sztandarem kroczył oficer z nagą wzdłuż ramienia prawego szablą. Tłum otaczał i przez ulice do środka miasta na plac główny odprowadzał tę, po pięciu wiekach wskrzeszoną siłę zbrojną bułgarską, świadczącą o rzeczywistym

wyzwoleniu narodu. Uradowanie ludności, spotęgowane kilkudniowem wyglądanem opisać się nie da.

Na placu oczekiwała rada miejska w komplecie. Obok rady zgromadził się tłum niewiast. W naczelnym szeregu pierwszej figurował hadzi Christo; wśród drugich widzieć się dawały: hadzi Christica z Ilenką i baba Mokra z Anką. Piotr był tam także, ale się naprzód nie wysuwał. Grupę osobną stanowił komendant placu, sztabem otoczony.

Gdy oddział na środek placu wszedł, muzyka ucichła, przewodniczący oficer szablę do góry wznosił i gromkim głosem zawołał:

— Stój!

On krzyknął, a w tłumie słyszeć się dał z ust do ust podawany: „Stojan“! Wyraz ten powtórzyła hadzi Christica i Ilenka, powtórzył z przyciskiem mocnym, nabrzmiałym uprzejmością życzliwą, hadzi Christo, powtórzyła z uśmiechem Anka i na palce się wspinała.

Stojan komendantowi placu pozdrowienie wojskowe i raport złożył, oddział z kolumny pochodnej w szereg uszykował, broń mu sprezentować kazał, dalej: „Broń do nogi!“ i rozejście się z szeregów zakomenderował. Skoro się szeregi złamały, wnet mieszkańcy rzucili się do zabierania żołnierzy na kwatery.

Do Stojana przyskoczył hadzi Christo, oburącz go pochwycił i wołał:

— Ty do mnie!... ty do mnie!... Ja ciebie nie dam nikomu! Tyś mój!...

— Baba Mokra...—rzekł Stojan.

— Co tam, baba Mokra!... Baba Mokra ciebie

przyjąć i ugościć nie może... Baba Mokra na nice zeszła... skapcaniała... nie liczy się już... Ja nie puszcze ciebie!...

Rady nie było. Stojan przyjął od hadzi Christa gościnność i obok niego w towarzystwie hadzi Christicy o babę Mokrą zapytał:

— Wszystko straciła...—odpowiedział. Ha! sama sobie winna... Igrała i doigrała się... Turcy w ogrodzie odkryli przejścia jakieś podziemne, jakieś głupstwa, *marafety*... no i majątek jej zabrali a Piotra na rozstrzelanie skazali.

— Piotr więc jest zastrzelony?...—zawołał.

— Nie... Uchowal się, nie wiem gdzie i jak, bo za głowę jego wyznaczone było dwadzieścia pięć tysięcy ghurusz nagrody... Że się też nie zląkomil nikt!... Uchowal się i utworzył sklepik, za którybyś pięciuset ghurusz nie dał.

Mieszkańcy inni zabierali i do siebie ciągnęli żołnierzy innych. Jeden z nich zaś, mianowicie chorąży, chwytany przez tego i owego, wydzieral się i o babę Mokrą a Piotra dopytywał.

— Baba Mokra! baba Mokra!... — rozlegało się wołanie.

Baba z tłumu wysunęła się.

— A! oto... ona...—ktoś chorążemu wskazał.

Chorąży babę pozdrowił i rzekł:

— Ja do Piotra... list mam... Mam do niego list i mam z nim do pomówienia...

— Idźże ty, synku, na kwaterę gdzieindziej, — baba mu odpowiedziała. Ja ciebie tak, jak inni, ugościć nie mogę. Idź, podjedz sobie, jak należy i zajdź potem do sklepiku, tam Piotra zastaniesz, list mu oddasz i pomówisz z nim.

Choraży ze zdziwieniem widocznem słuchał tych słów i odrzekł:

— Nikola mi powiedział, żeście bogaci, że macie dom, dugianę i pariczek bez liku.

— Było to, ale już niema.

— Toć ja list oddam a na pogadanie później przyjdę.

Rzekłszy to, z zanadrza kopertę, mocno zabrukana, wydobyl i list babie wręczył.

W chwilę później list ów znajdował się w ręku Piotra, który go otworzył, przeczytał, usta skrzywił i rzekł:

— Od Nikoły... z Gabrowy... ze szpitala.. pisany trzy miesiące temu; zdaje się przeto, że Nikola nie żyje.

Anka i baba westchnęły; ta ostatnia zapytała:

— Cóż pisze?

— Hm? Daje polecenie, którego spełnić nie mogę. Każe mi powiedzieć Ilence, ażeby za Stojana za mąż nie szła, bo on, Nikola, w grobie spokoju mieć nie będzie.

— Czemuż ty polecenia tego spełnić nie możesz?...—zapytała po chwili namysłu Anka, z akcentem niepokoju.

— Niedorzeczne...—odrzekł Piotr.

— Więc ja Ilence powiem... — podchwyciła.

— Nie waz się!...—odezwała się baba. Do ciebie to nie należy... Stojan zasługuje na takie, jak Ilenska, wynagrodzenie. Jeżeli przeto pobrać się zechcą, a hadzi Christostwo na to pozwolą...

— Ah! pozwolą... — jęknęła i dodała: majko i bracie, odsyłajcież mnie co rychlej do św. Spasa...

Baba Mokra i Piotr z wyrazem zapytania w oczach jedno na drugie spojrzeli; baba łagodnie odrzekła:

ANULOWANO

— Poczekaj!... poczekaj jeszcze trochę.

Czekanie spowodowało naprzód chorążego, który domysł Piotra potwierdził i o Nikole szczegóły rozpowiedział. Nikola w Balkany dotarł, do wybuchu powstańczego ręki przyłożył i, z pogromu szczęśliwie uszedłszy, tułał się i przechowywał dopóty, aż jako ochotnik wstąpić mógł do szeregów bułgarskich, organizowanych pod skrzydłem rosyjskiem. Żołnierz z niego był waleczny. W bitwie pod Szipką udział wziął i, kilkakrotnie raniony, do szpitala się dostał. W szpitalu, obok chorążego, który również w tejże bitwie ranę odniósł, leżał. List napisał na dwa dni przed śmiercią.

— W oczach moich umarł... — mówił opowiadacz — i przed śmiercią zalecał mi usilnie, ażebym Piotrowi list wręczył...

— Czy się ze Stojanem spotykał?...— spytał Piotr.

— W jednym służyli batalionie...

Gdy chorąży opowiadanie skończył, na progu zjawił się Stojan. Na widok jego Anka zbladła. Chorąży i Piotr witali się z nim serdecznie; Stojan od nich do Anki się zwrócił i na głos zapytał jej:

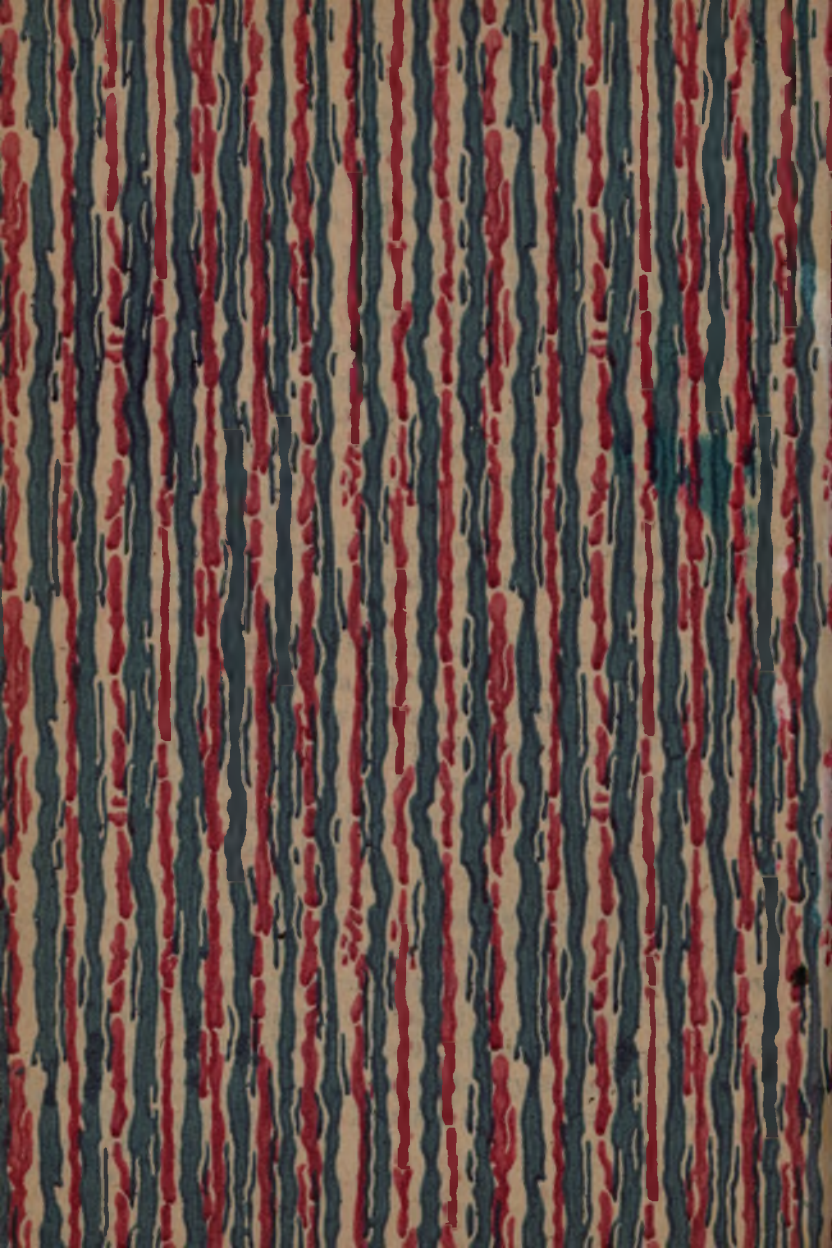
— Czekalaś?

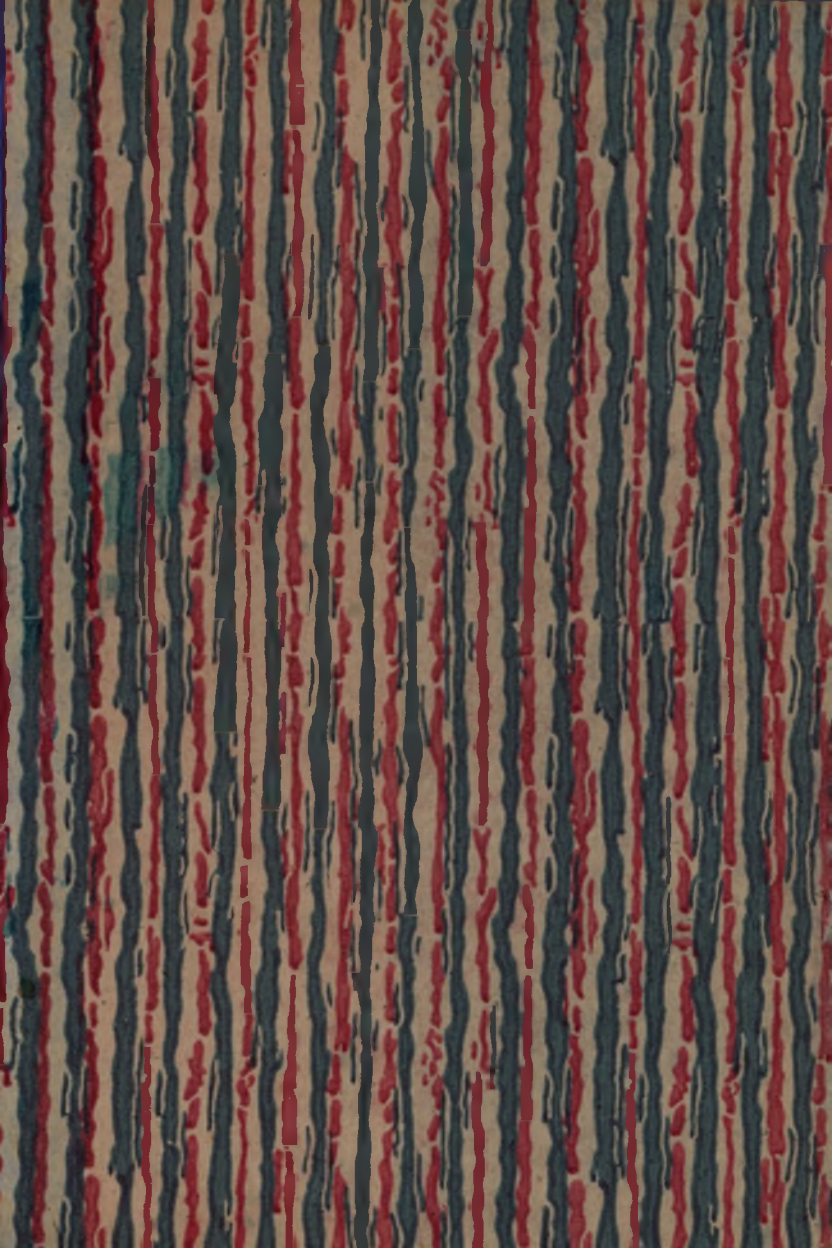
Anka zemdliała.

Niechże się na tem opowiadanie nasze zakończy. Zaranie się zmieniło dla Bułgaryi w dzień jasny i musielibyśmy po za ramy onego wyjść, gdybyśmy opisywać zechcieli wesele Anki i Stojana, jakoteż oburzenie hadzi Christa i hadzi Christicy, gdy się dowiedzieli, że Ilenka postanowiła wyjść nie za kogo innego, tylko za Piotra, który stracił wszystko. O! zgrozo...

Wielki Sejmik Asyjski
BIBLIOTEKA
GŁÓWNA
P. N. 1000







WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
230784

Biblioteka WSP Kielce



0084989